

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie Rb. 2. Półrocznie Rb. 4. Rocznie Rb. 8. W Królestwie i Cesarstwie: Kwartalnie Rb. 2.25 Półrocznie Rb. 4.50 Rocznie Rb. 9. Zagranicą: Kwartalnie Rb. 3. Półrocznie Rb. 6. Rocznie Rb. 12. Miesięcznie: w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie kop. 75, w Austrii: Kwartalnie 6 Kor. Półrocznie 12 Kor. Rocznie 24 Kor. Na przesyłkę „Alb. Szt.” dołącza się 50 hal. Numer 50 hal. Adres: „ŚWIAT” Kraków, ulica Bonerowska № 12. CENA OGŁOSZEN: Wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście Rb. 1, na 1-ej stronie okładki kop. 60. Na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem kop. 30. 3-cia strona okładki i stronie poza okładką kop. 25. Za tekstem na białej stronie kop. 30. Zaślubiny i zaręczyny, Nekrologi, Nadesłane kop. 75. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rb., przy nadesłanych 8 rb., na ostatniej 7 rb., wewnątrz 6 rb. Załączniki po 10 rb. od tysiąca.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, Zgoda № 1. Telefon: Redakcji 80-75, redaktora 68-75, Administracji 73-22. FILIE ADMINISTRACYI: Sienna № 2 tel. 114-30. ŁÓDŹ, ulica Piotrkowska № 81. Za odnośnienie do domu dopłaca się 10 kop. kwart.

ŚWIAT

Rok VIII. № 18 z dnia 3 Maja 1913 r.

NATURALNA WODA PRZECZYSZCZAJĄCA

APENTA

działa łagodnie i pewnie.



Francuskie Tow. Ubezpieczeń na życie

„L'URBAINE”

Ułgi na wypadek niezd. do pracy
Filja dla Król. Pol. Marszałk. 138.
Oddział miejski Aleja Jerozolimska 21.

NAJLEPSZA
CZEKOLADA SZWAJCARSKA
NA MLEKU

„Caillers”.



S. Satalecki

Nowy-Świat 49

POLECA

Koszule frakowe,
Kamizelki,
Krawaty w modnych kolorach.

Pijcie Piwo

WALDSZLESCHEN

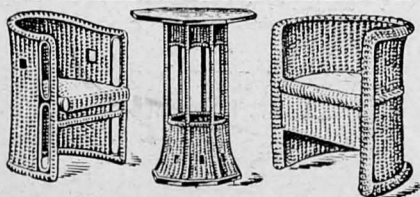
DOM BANKOWY **Felicyan Sokołowski**
Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 5.



Hotel ROYAL w WARSZAWIE.
Winda. Elektryczność. Kąpiele.
Telefon: 5-09, 8-29.

Znany od lat 16-tu w Warszawie

HOTEL-PENSYONAT Hr. Städtickiej
Marszałkowska 67, tel. 109-60.
Winda — Komfort, Kuchnia wyborna.



Do ogrodów, werand, hal, poczekalni Meble Trzcinowe W. i W. KRAKOWSCY Warszawa, Al. Ujazdowska 16. Katalogi gratis i franco.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Redaktor: Stefan Krzywoszewski
Warszawa, ulica Zgoda № 1, róg Chmielnej.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, Bonerowska № 12.

Miliard margrabiego Gerona.

2

Popelniamy błąd, stawiając niebezpieczeństwo niemieckie na jednym poziomie z jakimkolwiek innym, lub, co gorsza, usuwając je na plan drugi. Jeśli ponosimy gdzieindziej dotkliwe szkody, jeśli jesteśmy wstrzymywani w rozwoju, lub nawet cofani w kulturze, pozostaje nam przecież perspektywa naprawienia tych szkód w przyszłości. Dopóki zachowujemy byt, dopóty wszystkie możliwości stoją przed nami otworem. Tu sprawa stoi zgoła inaczej. Walka toczy się o rzecz najelementarniejszą, o sam fakt naszego istnienia, o obecność lub nieobecność naszą, o to, czy jedna czwarta część naszego narodowego obszaru ma zostać krajem polskim, czy stać się niemieckim. Jedyne na zachodnim skrzydle ponosimy straty, które nigdy już odrobić się nie dadzą. Kędy pług kolonizacji przeorał nasze niwy, gdzie rozpalone zostały ogniska tych przybyszów, zwartą ławą osiadłych, tam wionęła już śmierć, tam skurczyła się Polska niepowrotnie, a ziemia, zdobyta przez nieprzyjaciela i wessana w ciało niemieckie, wypada na zawsze z naszych rachub. Należy zdumiewać się, że wobec bijącej oczywistości tych zjawisk znajdują się wśród nas osobliwi statysci, którzy mają dość fantazyi, by prawić nam o przecenianiu niemieckiego niebezpieczeństwa!...

Zbyt chętnie, niestety, poddajemy się sugestyi tych głosów uspokajających i usypiających. Mniemamy błędnie, że nawała bije wyłącznie o zabór pruski, że nie jest nią zagrożona reszta Polski, i w głębi duszy, znużeni nadmia-

rem klęsk, może nieraz skłaniamy się, by troskę o kresy zachodnie uznać za obowiązek samej tylko dzielnicy poznańskiej. Jest to najtragiczniejsza z omyłek. Sprawa Poznańskiego, Śląska, Prus królewskich, Pomorza, Warmii i Prus książęcych wiąże się nierozdzielnie z losami reszty ojczyzny, a niezmierną doniosłością swą wysuwa się wręcz na czoło zagadnień ogólnopolskich. Będąc zagadnieniem życia i śmierci ogromnych obszarów naszego władania, kryje w sobie groźne dla narodowej całości niebezpieczeństwo odcięcia nas na zawsze od ujścia Wisły i postawienia Krakowa u wrót niemieczyny, kryje groźniejsze jeszcze niebezpieczeństwo skurczenia Polski do rozmiarów, które utraciłyby sens dziejowy.

Lecz nietylko z tych przyczyn obrona przed niemieckim zalewem nie może być wyłącznie pozostawiona zachodnim naszym dzielnicom. Patrząc, jak okraża nas ten zalew ze wszystkich stron i jak wciska się także tam, gdzie berło pruskie nie rządzi. Wszczą nie się niemieckiego żywiołu w organizm nasz odbywa się wszędzie i sięga daleko. Odkryciem było dla nas niedawno, iż Królestwo Polskie żywi pół miliona Niemców, odkryciem, którego jaskrawość zbyt rychło zbladła. Pług czarnego kolonisty orze i na Mazowszu. Wielkie centra przemysłowe Królestwa — to centra niemieczyny, zorganizowanej, sytej, butnej, pełnej zdobywczego nastroju. Gdy zabór pruski padnie, ujrzy się Królestwo okrażone od północy i od zachodu olbrzymim łukiem niemieckim i wte-

dy dopiero właściwego znaczenia nabiorą niedocenione dziś forpocztę wewnętrzną. Galicyę zachodnią coraz gwałtowniej podmywa nurt germański. Na skarbach krakowskiego zagłębia spoczęła pruska dłoń, którą przyciągnęliśmy sami, nieodrodni następcy Konrada Mazowieckiego. Przez Cieszyn, atakowany całą potęgą wroga, prowadzi droga krótka i łatwa na Akropol naszych narodowych świętości, na Wawel!...

Cała Polska objęta jest uściskiem tych śmierć niosących ramion, i pod kątem widzenia polskiej całości musimy nauczyć się oceniać napór na zachodnie nasze ziemie!

Jesteśmy w błędzie, mniemając, że z naporem tym nie może walczyć cały naród, a w szczególności, iż nie możemy niczem dopomóc zaborowi pruskiemu, gdyż możemy wesprzeć go tysiącami środkami, pośrednio i bezpośrednio. Królestwo Polskie może wziąć znakomity udział w ocaleniu sąsiednich prześlanych jezior pruskich, choćby tylko przez napływ turystyczny. Od udziału wszystkich dzielnic zależy utrwalenie i ubezpieczenie polskośći Pomorza, które powinno stać się plażą trzech zaborów. Drogi pośrednie są wręcz niewyczerpane. Każda walka, jaką z żywiołem niemieckim stoczmy skutecznie w głębi Polski, będzie częścią zwycięskiej obrony ogólnej i zaważy na obronie kresów. Wzmocnieniem tej obrony będzie wyparcie z naszych miast żydów, jako awangardy niemieczyzny. Wzmocnieniem jej będzie każdy nasz zysk narodowy, każde pomnożenie siły, wszelki przybytek duchowy i materialny, wszelka plonem uwieczniona praca polska na jakimkolwiek polu. Kto choć przelotnie otarł się o warunki życia w zaborze pruskim, wie, jak dobroczynną jest dla tej dzielnicy świadomość, że za plecyma jej istnieje wielka rezerwa polszczyzny i że walka jej o byt narodowy nie jest zjawiskiem zamkniętym w sobie, lecz akordem, podporządkowanym większej całości. Silne, żywotne, kwitnące centrum polskie stałoby się dla kresów niewyczerpanym źródłem podniety, a samo, w imię wspólnego niebezpieczeństwa, znalazłoby sobie tysiące dróg oddziaływania na ich losy. Wzajemny ten kontakt moralny i taktyczny jest czynnikiem nieskończenie ważnym. Nie wysiłek bowiem jednej dzielnicy, lecz zdolność bojo-

wa, czujność i sprawność całego narodu rozstrzygnie o wyniku naszej walki ze światem niemieckim.

W tej walce dziejowej powinniśmy znaleźć w północnej Słowiańszczyźnie naturalną sojuszniczkę, pamiętną na to, że niemieckie „dążenie na wschód“ jest nieśmiertelne, że bój, który się tragicznie niegdys rozegrał nad Łabą i Odrą, a który dziś wre na naszej ziemi, musiałby z upadkiem naszym posunąć się dalej i ogarnąć także Ruś, jak objął już zachodni skrawek germanizowanej Litwy. Lecz Rosya wspiera nas w sposób sobie właściwy, w sposób, żywo aklamowany w Berlinie. Musimy brzemień walki nieść sami. Czy uniesiemy je?...

Nie są zapasy nasze z olbrzymem niemieckim beznadziejne. Może nas krzepić przykład małych Czech, który wskazuje, jakich cudów dokonywa naród, który wszystkie siły swe pręży ku obronie. Mogą nas krzepić nasze własne sukcesy, które umieliśmy odnosić w przeszłości i których także dziś nie brak w epopei naszego zachodu. Szanse narodu, który pod gęsto padającymi razami zdołał odzyskać zamary narodowo Śląsk i który na niejednym polu osiągał renesans swój wśród niewysłowienie ciężkich warunków, szanse narodu licznego i niosącego wielkie dziedzictwo moralne, nie są tak znikome, aby nie było wolno budować na nich przyszłości.

Jednakże w powszechnej świadomości polskiej muszą dokonać się zmiany, wyzwajające nowe zasoby energii i skierowujące je na punkt najbardziej zagrożony. Innemu oczyma musi współczesność polska spojrzeć na swe zachodnie ziemie, musi zrozumieć, że tam rozgrywa się najważniejszy akt naszego dramatu, że rozstrzyga się tam sprawa nie jednej dzielnicy, lecz całego narodu, że przez zalew niemiecki zagrożona jest cała Polska i cała musi wziąć solidarny udział w obronie, że chodzi tam nie o spór graniczny, nie o zatarg, nie o okupację, lecz o wyćpienie nas ze szczętem, wyćpienie, które musiałoby posuwać się coraz głębiej, że nie jest to prąd przemijający, ale żywioł, czynny odwiecznie, i że ten żywioł może być zatrzymany jedynie przez żywioł inny, że elementarnemu naporowi musi być przeciwstawio-

ny odpór równie elementarny. Wychowanie całego narodu powinno odbywać się pod hasłem wszczepiania mu w krew świadomości niebezpieczeństwa niemieckiego, a losy zachodniej Słowiańszczyzny, jako memento, w tem wychowaniu powinny się stać czynnikiem pierwszorzędnym.

Dziejów jej wyćpienia uczmy nasze dzieci na równi z ojcystymi, aby mogły zrozumieć w całej pełni, czym był i jest wobec nas świat germański. Opowiedzmy po stokroć, że stolica Niemiec współczesnych — to wszak Warszawa zachodnio-słowiańska. Niech snuje się przez życie polskie opowieść ostrzegawcza o tem, jak konały plemiona, wśród których stała stopa niemiecka, jak zdrada i okrucieństwo zmiatały je z powierzchni ziemi, jak w śmiertelnych drgawkach ginęła Rugia, jak marły nad brzegami Odry dźwięki lechickiego języka i jak śmierć postępowała wciąż bliżej ku naszemu dziedzictwu, aby i jemu wreszcie zagrozić. Szeroko otwartymi oczyma każdy naszemu potomstwu wpatrywać się w grobowce polskich książąt we Wrocławiu, dokoła których zamilkł na zawsze dźwięk polskiego języka, i niech u sarkofagów tych pije wstyd, krew burzący. Niechaj nie odrywa wzroku od żywego słowiańskiego trupa, od tonącej wyspy łuszyckiej, opłyniętej huczącymi falami oceanu Niemiec! Niech pamięni, że zanim do nas dotarły te fale, pochłonęły całe kraje i całe narody! O tem powinien w Polsce współczesnej pisać historyk i uczyć nauczyciel, te upiorne dzieje snuć powinien i odtwarzać artysta, o tem powinny matki śpiewać pieśni nad kołyskami, aby w mózg polski od pierwszego dnia jego świadomości wrastało poczucie, iż to samo, co spełniło się na słowiańskim zachodzie, grozi z kolei nam.

Wskrzeszenie tego poczucia w całym narodzie, w postaci, w jakiej ono żyło za pierwszych Piastów, staje się dziś zasadniczym warunkiem skuteczności naszej obrony. Tylko wtedy zdołamy się oprzeć zalewowi, tylko wtedy, gdy, przy użyciu wszystkich nowoczesnych środków działania, siłę żywiołu przeciwstawimy miliardom margrabiego Gerona...

A. Chołoniewski.





Józef Brandt. Do ataku.



Stanisław Wyspiański. Szkic.

Wystawa jednobarwna w Warszawie.

Pierwszy krok od czasu niedawnego istnienia, jaki postawiło „Koło Artystyczne“, przynosi mu naprawdę zaszczyt. Dawno nie pamięta Warszawa tak ładnej a pouczającej zarazem wystawy, jak obecna *Jednobarwna*. Zastrzeżmy się jednak zgóry, że nie jest to wystawa dla zbyt szerokich tłumów. Niema tam ja-skrawości, niema efektów krzykliwych, choć czasem tanich. Zamiast tego — dyskretna, wewnętrzna i skupiona charakterystyka naszej Sztuki, zaczawszy od pierwszorzędných, już nie żyjących mistrzów z zeszłego stulecia, a skończywszy na artystach społecznych. Wśród tego mnóstwo szkiców — samego Matejki przeszło

30. Więc jest to wystawa dla ludzi o wyrobionym smaku, wystawa dla znawców. Nic tak nie otwiera tajników duszy artysty, zwłaszcza takiego, który już skończył swą karierę, jak teka jego szkiców, pierwszych rzutów, albo idei, rodzących się dopiero do szerokich kompozycji. Jest w tem bezpośredniość natchnienia. Artysta jest wtenczas sam tylko ze sobą, nie myśli o kaprysach szan. publiczności, o szkołach lub kierunkach, które się podobają, bo są modne, a już najmniej o rzeczy tak bardzo wstrętnej, jak krytyka, wlokąca się, jak szary, chudy, połamany cień, za swą ofiarą. Ach! ileż pięknych myśli, ileż dobrych a śmiałych idei popsutych zostało w drodze pomiędzy pierwszym szkicem a wielkim płótnem, mającem się znaleźć na widoku publicznym!

Aby wszystkie te piękności zobaczyć, tajniki duszy odnaleźć, proces tworzenia odczuć i zrozumieć, należy głębiej wpatrzeć się w Wystawę Jednobarwną, trzeba dzieje tej sztuki i ludzi, którzy się na nią składali, choć trochę znać, coś o nich wiedzieć, słowem, trzeba mieć w sobie nie tylko kult, ale i kulturę Sztuki. Trudno np. o lepsze i dosadniejsze scharakteryzowanie tak pięknego, a równocześnie chorego talentu, aniżeli ten zbiór szkiców Wojtkiewicza. Kto wie, czy szkic Wład. Podkowińskiego do „Szalu“ nie jest bliższym duszy przedwcześnie zmarłego artysty, aniżeli ten sam przedmiot, rozciągnięty na wielkie, efektowne płótno. Juliusza Kossaka szkice i rysunki charakteryzują go tak świetnie, tak głęboko, że niejeden z

jego skończonych obrazów mógłby rysunkom zazdrościć. Z tego jasny wniosek: Kossak (ojciec) był przede wszystkim znakomitym rysownikiem, w kolorystyce był czasem blade. Śliczny portrecik w rysunku Józefa Simmlera ma już swój właściwy styl, należy do epoki z przed dwóch pokoleń. Wybornie ujęty został w kilkunastu rysunkach rozmach i temperament malarski Pawłiszaka, który, niestety, trwał krótko. Piwarskiego, Zaleskiego, Fajansa, Norblina, Orłowskiego, Buchbindera rysunki są momentami z historii naszego malarstwa, momentami, które się doskonale na Wystawie Jednobarwnej uwydatniają.

Z działu retrospektywnego wymienimy jeszcze nazwiska takie, jak:



A. Gawiński. Baba Jaga



R. Kochanowski. Brzozy.



Zofia Stankiewiczówna. Kamienne schodki.

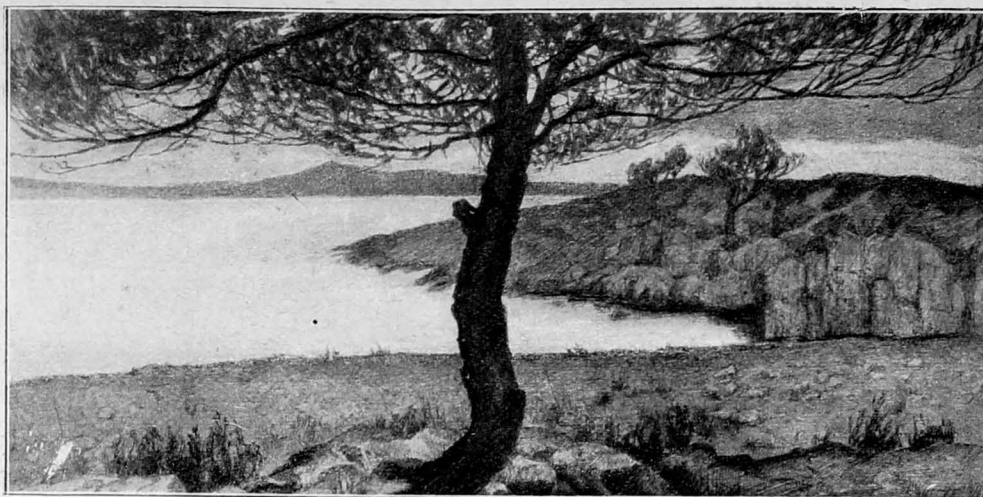
Grottger, Siemiradzki, Norwid, Chlebowski, bracia Gierymscy, Andriolli, Żmurko, Mucharski i t. d., i t. d.

Tyle dział retrospektywny.

W dziale społecznym, co najmniej zarówno interesującym, trudno mówić o wszystkich — raczej odesłać należy ciekawych do katalogu. Wymieńmy tylko większe cykle: cztery rysunki Ant. Kamińskiego, portretujące: Witkiewicza, Wyspiańskiego, Mehoffera i Podkowińskiego; rysunki te powinny być nabyte przez muzeum narodowe, jako związane ściśle z dziejami naszego malarstwa. Interesującym jest cykl fantazyi A. Gawińskiego, który również skomponował ładny afisz wystawy; dalej zbiór pejzażów Kochanowskiego, tak rzadkiego w Warsza-



Jan Matejko. Kancelarz Jan Zamojski.
(Ze zbiorów ant. polsk. H. Wildera.)



Anna Berent. Z nad jeziora Garda.

wie; wyjątkowo pięknym jest zbiór rysunków p. Anny Berentowej, dyskretnych, pracowitych, a jednak nie zagubiających nigdzie całości w szczegółach. Cykl rysunków A. Zarzyckiego znają czytelnicy nasi, przynajmniej w znacznej części. Również kilkanaście znakomitych szkiców przysłał prof. Wyczółkowski.

Zresztą, niema pewnie wybitniejszego zpośród malarzów społecznych, któryby nie znalazł się na Wystawie Jednobarwnej.

Wiele rzadkich i cennych rzeczy przesłał antykwaryat polski p. H. Wildera, a zebraniem, urządzeniem i doskonałym rozmieszczeniem zajmowali się przede wszystkim: p. Duninówna i art. malarze, M. Trzebiński i Ant. Zarzycki. A. B.

Kukiełka czy Persona?

„Le roi regne et ne gouverne pas”.
Thiers.

Wyrażmy się z większą atencją. Czy prezydent Rzeczypospolitej Francuskiej ma i musi być tylko i jedynie hojnie pensjonowanym (stoma tysiącami franków miesięcznie) urzędnikiem, stojącym na szczycie hierarchii biurokratycznej dla celów reprezentacyjnych, „maszyną do podpisywania”, słowem — najkompletniej biernym, urzędowym przedstawicielem Francji, czyli też może być działaczem politycznym wielce wpływowym, a nawet „głową” państwa, *un chef d'état*, w pełnym rozumieniu?

Zdania są podzielone. Bodaj, że niesłusznie. Niepowinno być dwóch zdań. Prezydent Rzeczypospolitej Francuskiej może wywierać znaczny, bardzo znaczny wpływ na przebieg polityki i krajowej, i zagranicznej.

Jeżeli zechce i — potrafi.

Wytłomaczył to czarno na białym p. H. Leyret puściwszy w obieg — w sam dzień wyboru na prezydenta p. Poincaré'go — książkę, roztrząsającą prawa i przywileje „najwyższego urzędnika” państwa.

Prawa te i przywileje wyłuszczone są w „Konstytucji” francuskiej i uchwalone zostały prawodawczo w lutym i w lipcu 1875 roku. Praw tych i przywilejów wcale pokaźna lista. Mamy tam między innymi: inicjatywę prawodawczą, mianowanie na wszystkie urzędy cywilne i wojskowe, prawo rozwiązywania (przed terminem a na żądanie senatu) Izby deputowanych, zwoływanie nadzwyczajne obu izb prawodawczych, prawo znoszenia się bezpośrednio z obu izbami drogą specjalnych odezów — *memoriałów* (*message*), z którego to prawa, mówiąc nawiasem, korzystali jedynie Thiers i Mac - Mahon. Prezydent ma prawo zażądać ponownych w izbie debatów nad daną sprawą. Jest to niewątpliwie swego rodzaju umiarkowane prawo *veto*. A z tego prawa żaden prezydent francuski nie skorzystał nigdy jeszcze! Dość powiedzieć, że konstytucja przyznaje prawo prezydentowi objęcia naczelnego dowództwa nad armią w czasie wojny. Z tego też prawa żaden prezydent dotąd nie korzystał, ale to prawo było uchwalone na wniosek prezydenta Mac-Mahona, który wcale poważnie gotował się, swojego czasu, do przeprowadzenia wojennemu „rewanżowi” za 1870 i 1871 rok.

Są atoli w „Konstytucji” francuskiej niejasności, których nawet p. Leyret rozproszyc nie potrafił. Jakże np. rzecz stoi z mianowaniem ministrów, z powoływaniem do życia nowych gabinetów? Wszak — zgodnie z konstytucją — *musi* każdy gabinet mieć za sobą większość parlamentarną. Tedy prezydent nie może Francji narzucić ministrów... nie - parlamentarnych. Jego tedy niezależność jest wielce ograniczona. P. Leyret powołuje się na to, że „konstytucja” nic nie mówi o warunkach i okolicznościach, towarzyszących mianowaniu ministrów, tedy prezydent ma — ręce rozwiązane. Niechby jednak próbował skorzystać z tej — mocno zresztą problematycznej — „swobody”!

Istnieje teoria, dowodząca, że



Edmund Rostand.

Maurycy Rostand.

Henryk Rochefort.

Polaire.

L. Guitry.

Colette Willy.

prezydent powinien tylko *pro forma* przewodniczyć radzie ministrów, nie mieszając się nawet do dyskusji, ponieważ winien pozostawać w granicach ścisłej „nieodpowiedzialności” politycznej. Pogląd to mylny. Prezydent nie tylko ma prawo zwoływać nadzwyczajne narady gabinetu, lecz może im przewodniczyć, ile razy mu się spodoba, a *powinien* doskonale znać wszystko, nad czym gabinet obraduje i, co najważniejsza, nie ma wcale powodu chowania pod korcem — własnej opinii.

Konstytucja nie oddaje w ręce prezydentowi steru polityki zagranicznej (prezydent np. nie ma prawa wypowiedzieć wojny; wojnę wypowiadają we Francji obie izby prawodawcze; prezydent tylko ogłasza ich decyzję). Ale — prezydentowi wolno wywierać, jaki zechce, wpływ osobisty na przebieg zagranicznej polityki. A powinno mu się komunikować całą korespondencję dyplomatyczną, zaś minister spraw zagranicznych składa prezydentowi raporty, jak cesarzowi lub królowi. Tedy np. Grévy sam tak pokierował całą sprawą Schnöbelego, że do wojny francusko-niemieckiej w 1871 nie przyszło, a Carnot i Faure niewątpliwie dali osobiście silny impuls do zawiązania się sojuszu francusko-rosyjskiego.

Następnie — podczas obowiązkowych wystąpień uroczystych, podczas objazdów kraju, podczas bankietów i t. p., ileż-to prezydent ma sposobności nawiązać dobre stosunki między narodem a rządem, lub odwrotnie... popsuć dobry stosunek! Tedy rola jego nawet reprezentacyjna może mieć o wiele głębsze i donioślejsze znaczenie. Każde wogóle publiczne wystąpienie prezydenta musi *eo ipso* wywierać wrażenie — dodatnie lub ujemne — i przez to oddziaływać na masy i, co za tem idzie, na politykę wewnętrzną.

P. Leyret tedy dochodzi do ogólnikowego wniosku, że prezydent francuski ma nie tylko prawo, ale i obowiązek: z jednej strony współpracować z rządem, z drugiej zaś strony mieć nadzór nad wszystkimi rządowymi czynnościami.

Rozumie się, że nie mu nie stoi na zawadzie... nie korzystać ani z owego współpracownictwa, ani z owego kontrolowania. Jedno i drugie — uciążliwe. Tedy wygodniej usuwać się majestatycznie, zasłaniając się obawą, aby republikańska

prezydentura nawet pozorów nie miała „tyranii”, „absolutyzmu”, a nawet niewłaściwego charakteru.

Wszelako, bodaj że p. Leyret zapominał o jednym prawie, rządzącem ludzkością całą, mianowicie, że wybitna, dzielna indywidualność musi, z natury rzeczy, wyrzucić dokoła siebie wpływ, piętno swoje położyć na każdej sprawie, do której się dotknie. Bez względu na to, czy dzieje się to na szczycie hierarchii biurokratycznej, na tronie, lub na najskromniejszym stanowisku.

I wygląda, że doskonale o tem pamięta właśnie p. Poincaré, nowy prezydent Rzeczypospolitej Francuskiej. W sile wieku i w rozkwicie energii nie rwałby się przecie — do synekury. Domniemanie też i „konstytucyj” francuską zna na wylot. Tedy gdy mu potrzebna będzie ta lub owa zmiana w prawach i przywilejach prezydenta, wystąpi z „mesażem” do parlamentu i, jak MacMahon, potrafi uzyskać to, o co mu będzie chodziło, dlatego aby właśnie nie być kukiełką — lecz personą.

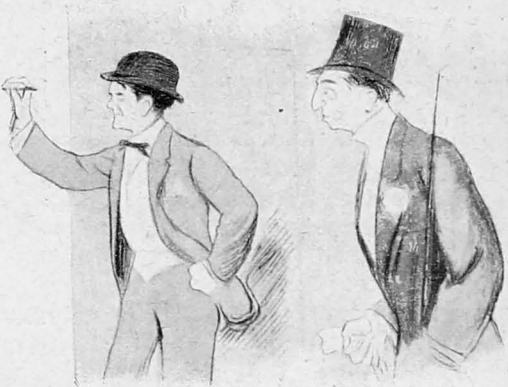
Czesław Jankowski.

Kawałek „całego Paryża”.

Paryż nie został zdegradowany. Zachował on swój powab i swój pociąg. O jego zgniliznie słyszymy ciągle, a od nikogo głośniejsze, aniżeli od francuzów samych. Od nikogo przecie częściej, aniżeli od — Niemców. Drapieżnicy, wywłaszczyciele, brutalne słowa moralności mają ciągle na ustach i ciągle gotowi są wycierać próchną z pod cudzych powiek. Kiedy Wilhelm I ciągnął na Paryż, przekonywał swe otoczenie, — choć prędzej pewno przez swoje otoczenie był przekonywany, — że szedł na... wojnę świętą. Nowoczesny Babilon zasłużył na zburzenie kulą i kolbą pruską. Obecnie, przy debatach nad powiększeniem armii niemieckiej, wstał pe-

wien pruski hrabia i piętnował — francuskie zepsucie. O niemieckim — nie wspominał...

Paryskie zepsucie istnieje niezależnie. I jest ono tem niebezpieczniejsze, że ma formy takie miłe, zgrabne, przytulne. Ale francuzi mają tego zepsucia dosyć już i naseryo myślą o odrodzeniu się. Najznakomitszy francuski aktor, Guitry, który całe życie grywał kochanków mężatek albo kokotek, — jego najświetniej-



Paweł Robert.

Bernstein.

sza rola — to Armand w „Damie Kameliowej”, — obecnie zbiera oklaski za rolę pułkownika w „Servir” Lavedana, rolę, w której ten oficer, ciężko ukrzywdzony przez podłego ministra-masona, poza kadrami wojska służy ojczyźnie całą duszą i na pierwsze słowo następnego ministra gotów jest do usługi, wymagającej pewnej śmierci. Ten amant zawodowy przemienił się w bohatera — z dnia na dzień...

Chętnie widzimy w tem symbol Francji...

Zresztą, jaskółek na nową wiosnę w tym kraju już pełno... Nie znam wstrętniejszego jego nościa w literaturze francuskiej nad Willy’ego. Jego żona służyła mu za model do cyklu „Klaudyna”, pisanego — niemal samym brudem. Jego kochanka śpiewała w tinglach sprośne piosnki, wyrzucając cienkimi nogami nad głowę skom-



Hebrard.

Edwards.

Helleu.

Boldins.

plikowane figury. Gdy pani Coletta rozstała się ze swym mężusiem, odkryła w sobie piękny talent pisarski, — jeden z najistotniejszych dziś we Francji, — który poświęca opisom życia zwierząt, wdzięków natury i nudzie cygańskiego życia. A panna Polaire, *najchudsza kobieta na świecie*, przeszła do komedii, — co stanowi już jakby początek wejścia na dobrą drogę, ponieważ to w komedii francuskiej dusza francuska robi dziś najwyraźniejszy wysiłek do odrodzenia. Stare przysłowie powiada, że „ryba psuje się odelbą“, nowe dodaje do tego: „a społeczeństwo od teatru“. Może naprawa idzie w kierunku — ściśle tym samym...

Jest w każdym razie dziedzina życia paryskiego jeszcze brudniejsza, jeszcze bardziej zepsuta, jeszcze ohydniejsza, aniżeli teatr paryski ostatnich lat, — to prasa. To śmietnik. To gnojowisko. W poczytnych pismach paryskich wszystko możecie wydrukować, — stosownie do taryfy. Jeżeli notoryczny idyota chce mieć artykuł wstępny, kwalifikujący go, jako geniusza, to tylko drożej kosztuje, aniżeli wtedy, gdyby tej kwalifikacji zażądał mąż z talentem. Najpoważniejsze pismo paryskie, *Le Temps*, organ p. Hebrarda, piszący tym samym tonem, w jakim zwykli przemawiać uczciwi i przekonani ludzie, — jeszcze jest... sklepieniem. Tylko Hebrard ma głowę na karku i odwagę swych przekonań. Kiedy oskarżono go o łapówki od zarządu panamskiego, najspokojniej odrzekł: „Ależ tak, — sporo dano mi pieniędzy w formie ogłoszeń, — a ja popierałem tę sprawę. Miałbym nie popierać mojego klienta?!“ Sędziowie wtedy zgłupieli, a Hebrard wyszedł z sądu z tryumfującym obliczem.

Jednak — oddajmy mu sprawiedliwość, — nie można wątpić, że ten zręczny mąż wołałby popierać uczciwe całkowicie przedsięwzięcia. Jest w tem odcień moralny. Tylu dziennikarzom jest to *gancpomade*...

Nieśmiertelny Rochefort łapówek nigdy nie brał. Nawet w formie ogłoszeń. Lecz znalazł on innys posób na to, aby być tyleż moralnie wartym, co różni Bunau-Varilla, właściciele „Matina“. Występuje on zawsze i przeciwko wszystkiemu, co jest na górze. I kiedy na górze znajdują się jego własne przekonania, wyrażane przez ludzi, którzy się nauczyli myśleć z jego artykułów, on i ich „w łeb!“.

— W łeb!

Zawsze w łeb! Każdego w łeb! Jedyne to gest publicystyczny, jaki on praktykuje, jedyny, jaki zna.

A potrzeba, aby jakieś społeczeństwo było bardzo chore, żeby taki pan z macągą do wszystkiego mógł przeżyć całe życie w zbytku...

Powiadają, że to zepsucie prasy francuskiej jest importem amerykańskim i że pierwszy je z całym cynizmem praktykował założyciel *Mati-*

na, p. Edwards. Może. Znalazł jednak uczniów, którzy prześcignęli mistrza. Zarobiwszy grube miliony na swym systemie, p. Edwards teraz — ciągle się żeni i rozwodzi. Jedna z jego żon była polką, — to panna Godebska z domu. Druga — najpiękniejsza paryżanka swego czasu, — to panna Lentelme, która się utopiła po pijanemu. Z temperamentem jego...

Wróćmy jednak do teatru. Spodziewać się należało może, iż w odrodzeniu obecnem weźmie udział czynniejszy Rostand. Wszak to on pierwszy nowej Francji począł mówić o heroizmie?! Wszak on pierwszy przywołał na scenę francuską ród bohaterów, — którzy zdawali się już być nazawsze w tym kraju pogrzebani? Cyrano! — Chantecler! — Orleń!... Ten talent długo ugoruje, niestety, zanim do żniwa stanie się przydatnym. I dlatego, o ile teoria Brunetiera jest prawdziwa, — nie jest to pisarz z geniuszem prawdziwym. Albowiem jedna z najistotniejszych cech geniuszu — to płodność. Vide: Szekspir, Goethe, Byron. Syn Rostanda także jest poetą. Już nawet dał się poznać szeroko paryskiemu światu, — rzadka to rzecz sława w tak młodym wieku, — porywając staremu Guitremu... jego kochankę, i to w czasie prób sztuki ojca... Obiecujący młodzieniec, jednym słowem...

Natomiast nie brakuje na płodności p. Bernsteinowi. I gdyby sama

płodność wystarczała geniuszowi, byłby to bardzo genialny pisarz. Tymczasem od geniusza teatralnego świat przyzwyczaił się wymagać, oprócz znajomości sceny, także i trochę literatury... To stanowi rozpacz Bernsteina właśnie. Jest on wszyskiem, czem chcecie, oprócz tylko literatem... Jego nowa sztuka „Sekret“ przypomniła nam o tem...

Jeden francuz mówił mi:

— Jakże bylibyśmy cnotliwi, gdybyśmy mieli — inne kobiety?

Jest w tem racja. Paryżanka wie, że człowiek na pokuszenie z potęgą, której tylko święty może się oprzeć, albo ślepy. Zobaczcie, czem jest paryżanka, gdy wam ją namaluje Helleu, gdy wam ją namaluje Boldini? Jest to zatracenie duszy w kapeluszu za 300 franków! Jest to piekło otwarte w kostiumie tysiącofrankowym!

Dobrze zorganizowane społeczeństwo francuskie, naród francuski, dostatecznie przygotowany do zwycięstw nad prusakami, powinienby może zacząć od wygnania wielkich modniarzy paryskich i ich poetów: malarzy, „którzy czują paryżankę“.

Ot, powinno wyjść prawo, które pozwoli pięknym kobietom portretować się tylko przez Sema, — autora szkiców, jakimi nasz niniejszy felieton paryski przyozdobiłmy...

Garyś,

Emigrant z r. 1911.

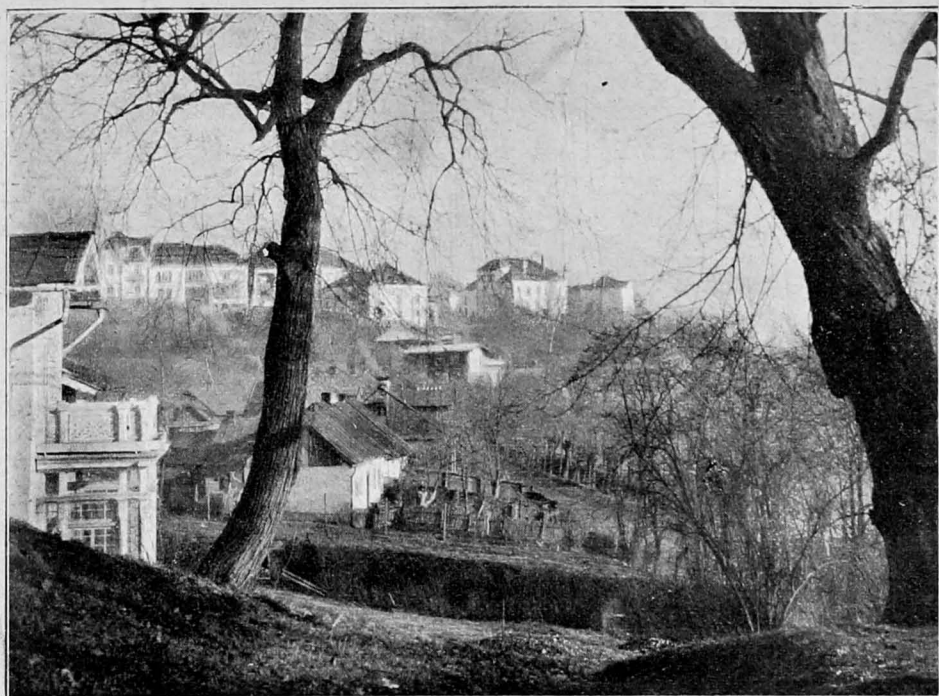
Pożegnanie księcia Józefa z krajem.

Odkryto w Krakowie jeszcze jedną, zapomnianą, wyjątkowego uroku pełną pamiątkę. Jest nią ustronna posiadłość, nosząca zdawna nazwę „domu pod lipkami“, położona na Zwierzyńcu opodal starożytnego klasztoru Norbertanek. Dom „pod lipkami“, zbudowany na lekkim

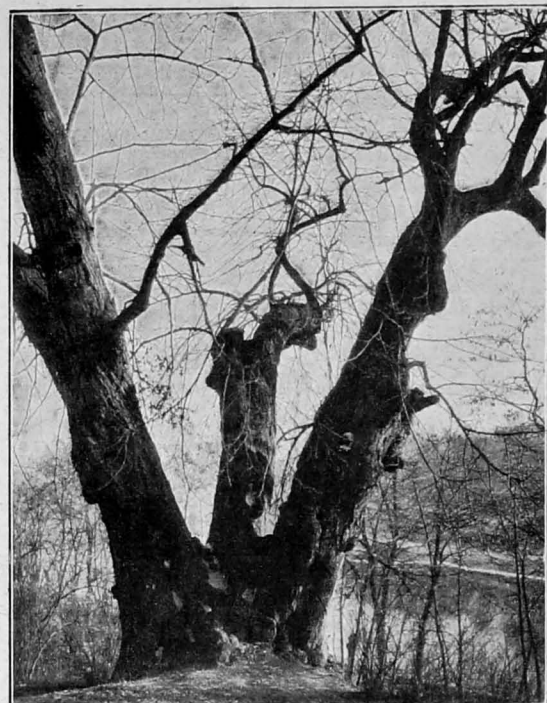
wzgórzu, opadającym ku Wiśle, ujmie niezwykłą malowniczością. Szumi nad nim odwieczny park, z którego tarasu roztacza się widok rzadkiej piękności na potężne mury klasztorne, wznoszone ręką jeszcze legendowego Piotra Dunina Własta, na wstęgę Wisły, na Wawel, na roz-



Dwór „pod Lipkami“ w Krakowie.



Widok z ogrodu „pod Lipkami”.



Lipa, pod którą odbył się pożegnalny pod wieczorek ks. Józefa w Krakowie, przed wyruszeniem na bój pod Lipskiem.

łożoną w dole panoramę wień i szczytów Krakowa. Pośród drzew w parku góruje trójramienna sędziwa lipa o ogromnej koronie, jedyny dziś żyjący świadek czasów, kiedy Zwierzyniec dzisiejszy był jeszcze istotnie knięcią i gdy rozlegał się tu róg królewskich łowów. Pod prastarą tą lipą leży omszały kamień z wyrytym na nim stuletnim, wybornie dotychczas czytelnym wierszem:

Kiedy się wszystkie smutki na mą duszę zlały,
Kiedy bolesnym czuciom szukać ulgi
Miejsce mego dumania był ten zakąt
Nadzieje i pamiątki z sobą tylko miałam,
Pociechy moje były uczuć niewinność,
Piękne niebo i szczerza mieszkańców gościnność.

Zofia z Czartoryskich Zamoyska.
1813.

Ten wiersz i ta data wiążą się bezpośrednio z wspomnieniem wielkich dziejowych wypadków, których stulecie przeżywamy... Tu, pod tą trójramienną, ogromną lipą, lat temu sto, w dniu 8 maja 1813 r., odbyło się z udziałem świetnego towarzystwa polskiego pożegnanie księcia Józefa Poniatowskiego z krajem ojczystym, przed wyruszeniem na ostatni bój, przed Lipskiem i śmiercią z falach Elstery. „Podwieczorek” pożegnalny, urządzony przez damy polskie „pod lipkami”, to była ostatnia chwila, jaką bohaterski wódz spędził na ziemi rodzinnej, w kole przyjaciół. Nazajutrz rano wyruszył w drogę, z której już nigdy powrócić nie miał żywy, z której powrócił już tylko po to, by leżąc w podziemiach Wawelu.

Książę Józef przybył do Krakowa 20 lutego 1813 r. Gdy po pogromie Napoleona armia rosyjska przekroczyła Wisłę i zbliżyła się ku Warszawie, książę, wraz z Radą ministrów i ośmiotysięcznym swym korpusem, cofnął się na południe, by tu,

w oczekiwaniu dalszych wypadków, skupić i zreorganizować swe siły. Mały Kraków odzyskał na chwilę splendor stolicy kraju. Rząd i armia stanęły w jego murach. W radosnym upojeniu, uderzeniem w dzwony wszystkich kościołów i biciem przyspieszonym serc witało miasto wkraczającego wodza. Polska nie czuła jeszcze całej doniosłości klęski, poniesionej w wyprawie na Moskwę. Wierzyła w gwiazdę Napoleona i w swój własny, wypróbowany miecz, czekała na odwet. W Krakowie nie było przygnębienia. Wcześniej nieco, niż wojsko, ściągnięto tu liczne i wykwintne towarzystwo warszawskie, i mała stolica zaszumiła wirem karnawału, tak hucznego, jakiego tu dawno nie widziano. W tem kole jaśniała czarem wyjątkowej urody Zofia z Czartoryskich ordynatowa Zamoyska, córka generała ziem podolskich i Izabeli z Flemingów, jedna z najpiękniejszych i najsobotniejszych

wytwornych dam swego czasu. Pani Zamoyska przybyła do Krakowa już w styczniu i zamieszkała w pałacu rodzinnym przy ulicy św. Jana. W czasie jednej z wiosennych podmiejskich wycieczek na Zwierzyniec spostrzegła ową prześliczną posiadłość w cieniu odwiecznych lip i nabyła ją na własność. To ustronne zacisze, zgodnie z sentymentalnym duchem epoki, przeznaczyła na swą „świątynię dumania”. Pani Zamoyska lubowała się w sztuce ogrodniczej, była wszak córką znakomitej znawczynie tego kunsztu, autorki dzieła „O urządzaniu ogrodów w Polsce”, posiadała sama smak niepospolity, to też niebawem ogród „pod lipkami” stał się schronieniem, podwójnie czarującym: wyposażonym hojnie przez przyrodę i wypieszczonym kunsztem ręki ludzkiej. I tu właśnie pani Zamoyska podejmowała ostatnim na ziemi ojczystej „podwieczorkiem” bohatera z pod Raszyna, spieszącego na pole śmierci.

W końcu kwietnia nowe pułki polskie, formowane w Krakowie, stały już pod bronią. Po dramatycznym pasowaniu się z sobą, w czasie którego podwakroć zajął w łufę pistoletu, książę Józef rozstrzygnął o losie swoim i nowozaciecznych sił zbrojnych. Wódz polski pozostał wierny „honorowi”, a niewątpliwie i instynktownej politycznej mądrości. Wytrwał przy Napoleonie. 5-go maja wojsko polskie wyszło z Krakowa i rozłożyło się obozem na wzgórzach Krzemionek, a w dwa dni potem rozpoczął się jego pochód ku Saksonii. 8-go maja sam książę pożegnał się z Krakowem i z Polską.

Ten moment, związany z ogrodem „pod lipkami”, przekazał nam pamiętnikarz tamtych czasów, Julian Falkowski, autor „Obrazów z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce”. „Towarzystwo krakowskie —



Zofia z Czartoryskich Zamoyska (z portretu Greuze'a, własność Z. hr. Zamoyskiego w Wysocku).

opowiada — za przewodem pani ordynatowej Zofii Zamoyskiej uprosiło go, żeby w przeddzień wyjścia przyjął jeszcze podwieczorek pożegnalny „pod lipkami” na Zwierzyńcu. Księżę udał się na to zaproszenie ze swoim sztabem i kilku generałami i w cieniu tych starych, rozłożystych lip, tworzących w tej porze roku jakby baldachim z świeżej zieloności nad głowami, wśród uroczego krajobrazu u stóp góry św. Bronisławy, mając przed sobą rozciągającą się w malowniczych zakrętach szeroką wstęgę Wisły, na lewo kąpiący w niej stopy swoje królewski Wawel, a na prawo malownicze Bielany ze swym klasztorem, bohater nasz przepędził ostatnie miłe i wesołe chwile swego życia. „Podwieczorek”, którego gospodynią była pani Zamoyska, przeciągnął się do późnej godziny, gdyż żegnano się „przy świetle księżyca” i przy srebrnym blasku jego księża Józef, w otoczeniu świetnego sztabu, opuszczał gościnny ogród „pod lipkami”. Nazajutrz rano całe towarzystwo, tym razem już wraz z tłumem ludu, zebrało się nad brzegiem Wisły, od klasztoru zwierzyńskiego aż do „lipek”. „Za ukazaniem się księcia na drodze ku Mogilanom na czele swej kolumny — opowiada Falkowski — lud żegnał go serdecznymi okrzykami, panie powiewały chustkami i ściagały hufce nasze ze łzami w oczach, póki nie znikły w dali”.

W pięć miesięcy później, 19 października, księża Józef znikł w fałdach Elstery.

Gorącą miłośniczkę narodu, panią ordynatową Zamoyską, owo wspomnienie pożegnalne wiązało tem silniej z piękną posiadłością podmiejską „pod lipkami”. U stóp trójramienniej odwiecznej lipy, na pamiątkę wieczoru, który tu spędził ks. Józef, położyła pani Zamoyska, obyczajem ówczesnym, płytę kamienną z francuskim napisem, z którego dziś pozostała tylko wymowna resztką: 8 Mai 18... i oderwane litery. Ale zachowały się inne, smutniejsze pamiątki. Gdy z zachodu nadchodzić poczęły złe i coraz gorsze wieści o przegranej pod Lipskiem, o zgonie uwielbianego bohatera, o upadku potęgi Napoleońskiej, z którą tak długo wiązały się polskie rachuby, pani Zamoyska wiele chwil smutnych przeżyła w swej „świątyni dumania”, dając im wyraz wierszami, wykutymi w kamiennych głazach. Dwa przetrwały bez szkody do dziś. Przytoczony wyżej sześciowiersz, oznaczony datą: 1813, musiał powstać jesienią, gdy katastrofa pod Lipskiem była już faktem spełnionym. Na drugiej płycie widnieją od stu lat melancholijne, w stylu swego czasu ułożone wyrazy:

Tylu bolesnych Uczuć i Smutku przy-
czynie
Sam tylko Wyrok Nieba cenę nadać
może.

Nigdy w cnotliwych Duszach Nadzieja
nieginie,
Ta i wśród ostrych Kolców wdzięczne
pieści róże.
Wszędzie za Cnotą idzie Uczuciów Nie-
winność,
A Sama ją da poznać Ludziom Dobro-
czynność.

Głazy te i prastara lipa, pamiętająca pożegnanie księcia Józefa z ojczyzną, trwają do dziś w ogrodzie „pod lipkami”, opromieniając urokiem wspomnień piękne zacisze, z którego, jak przed stu laty, jak wówczas, gdy spoglądali stąd rycerze Napoleońscy, rozciąga się niezmiennie czarujący widok na Kraków. Pamiątkowy ogród „pod lipkami” nie skończył swej historii na r. 1813. Stał się na długo popularnym, przechodził niejednokrotnie do literatury. Pani Zamoyska przez szereg lat otaczała go troskliwą opieką, pielęgnowała kwiaty i sama zasadzała drzewa, urządziła tu przyjęcia „podwieczorkowe”, jakby dla uczczenia tradycji pamiątkowego „podwieczorku” księcia Józefa, w cieniu trójramiennnej lipy, jak zapisuje w swych wspomnieniach syn, generał Władysław Zamoyski, trawiła długie godziny na rozpamiętywaniu losów kraju, a pod nieobecność swą otwierała ogród chętnie dla publiczności z miasta.

„Lipki” miały odtąd szczęście do właścicieli. Dziwnym trafem, przechodziły często w ręce poetów i ludzi pióra, i to stanowi ich dalszy, osobliwy urok. Należały do Franciszka Wężyka, który nie zaniedbał opisać ich swym klasycznym wierszem. Przebywał tu Edmund Wasilewski i tu zapewne tworzył swój poemat „Skargi drzew”, w którym opiewa ową przedwieczną lipę, nazywając ją „siostrą zwierzyńskiego klasztoru”. Był właścicielem tego ustronia Walery Wielogłowski, zasłużony budzielnik krakowskiego życia umysłowego w połowie ubiegłego wieku, autor powieści obyczajowej „Kraków przed czterdziestu laty”, w której gęsto jest mowa o „Lipkach”. Gromadzili się tu nieraz pisarze, artyści i działacze publiczni. Przed kilku laty, po dłuższym zapomnieniu i zaniedbaniu, przeszedł „Lipki” znowu w ręce, godne tej posiadłości, pełnej wspomnień. Uroczą siedzibę opromieniła swym pięknym i piękno miłującym duchem przedwcześnie zgasła Konstancja Stępowska, utalentowana i skrzetna badaczka dziejów sztuki. Właściciel dzisiejszy, znany i zasłużony działacz oświatowy, dr. Marwan Stępowski, podniósł dwór „pod lipkami” z zaniedbania, otoczył troskliwą opieką pozostałe pamiątki i w stulecie roku 1813 przygotował monografię tego historycznego ustronia.

W dniu 8 maja r. b. z inicjatywy Towarzystwa opieki nad polskimi zabytkami sztuki i kultury w w Krakowie święcić będą „Lipki” skromnym obchodem swój stułetni jubileusz. Na murze ogrodowym willi umieszczona zostanie tablica,

która dalszym pokoleniom wskazywać będzie miejsce, gdzie wódz narodowej armii i piastun polskiego honoru, księża Józef Poniatowski, wraz z sztabem swym, spędził ostatnie chwile pobytu na ziemi ojczystej.

Kraków.

Clarus.

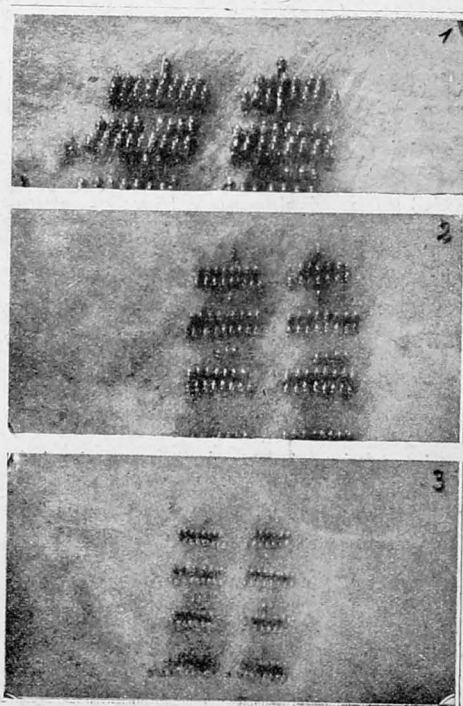
*Tylu bolesnych Uczuć i Smutku przy-
czynie
Sam tylko Wyrok Nieba cenę nadać może
Nigdy w cnotliwych Duszach Nadzieja nieginie
Ta i wśród ostrych Kolców wdzięczne pieści róże
Wszędzie Cnota idzie Uczuciów Niewinność
A Sama ją da poznać Ludziom Dobroczynność*

Facsimile na płycie pamiątk. „pod Lipkami”.

Współzawodnicy powietrzni.

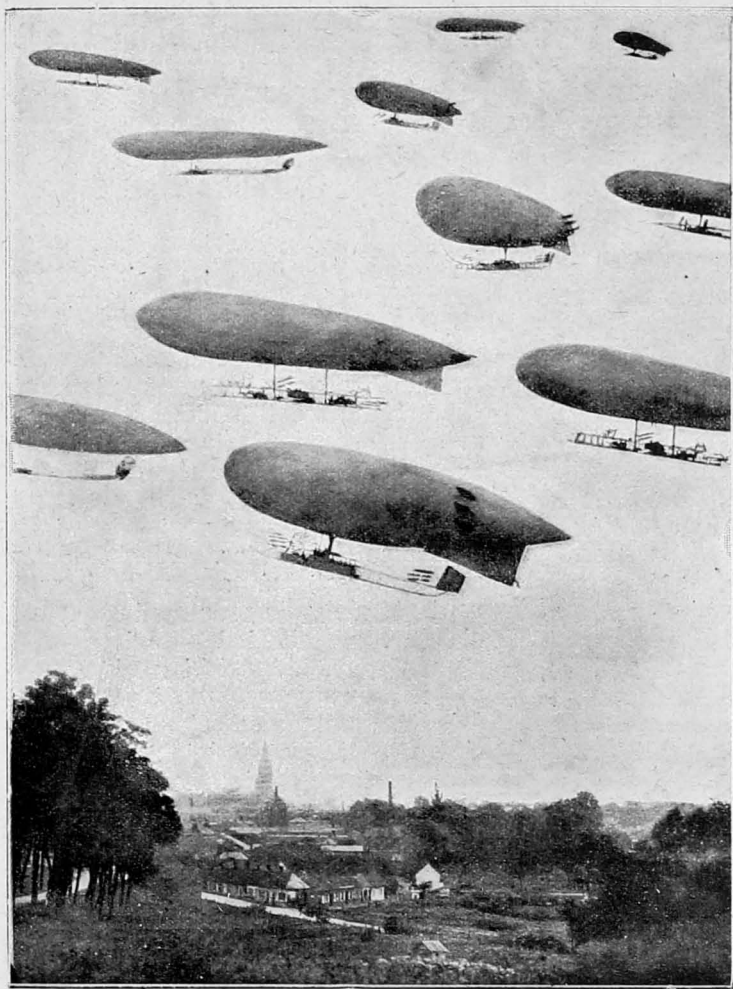
Przypadkowe, a może i nie przypadkowe, jak sądzą niektórzy, odwiedziny Zeppelinowskiego balonu w Lunéville, naoczny widok w granicach Francji powietrznego rywala, a w niedalekiej przyszłości może i wroga, ześrodkowały znowu uwagę powszechną republiki na niebezpieczeństwo, które aż do roku zeszłego dosyć lekko sobie ważyła. Pisma wojskowe, pisma zawodowe, tygodniki i cała prasa codzienna wytoczyły znowu na swe łamy smutną sprawę słabości Francji w powietrzu w porównaniu z najbliższym o mie-dzę sąsiadem. Zresztą, nie milkła ona od ubiegłego roku, kiedy po raz pierwszy odezwały się poważne ostrzegawcze głosy, których skutkiem były miliony, uchwalone przez parlament, i narodowa składka na zbrojenia powietrzne.

W ostatnich miesiącach sprawa

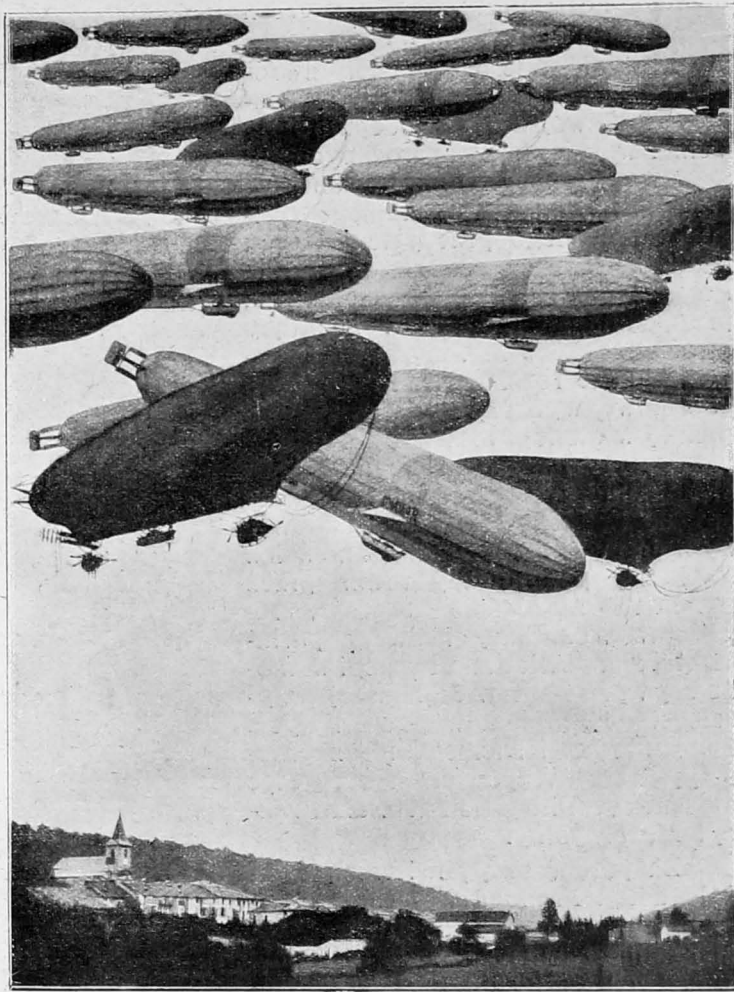


Fotografia z balonu. Dwa oddziały wojska fotografowane: 1) z wysokości 200 mtr., 2) z wysokości 400 mtr., 3) z wysok. 500 mtr.

Graficzne zestawienie siły zbrojnej powietrznej Francji i Niemiec.



STATKI POWIETRZNE FRANCUSKIE. 11 jednostek o pojemności 70,000 mtr. sz. i największej szybkości 50 klm. na godzinę.



FLOTA POWIETRZNA NIEMIEC. 26 jednostek bojowych o pojemności 250,000 mtr. sz. i przeciętnej szybkości 70 klm. na godzinę.

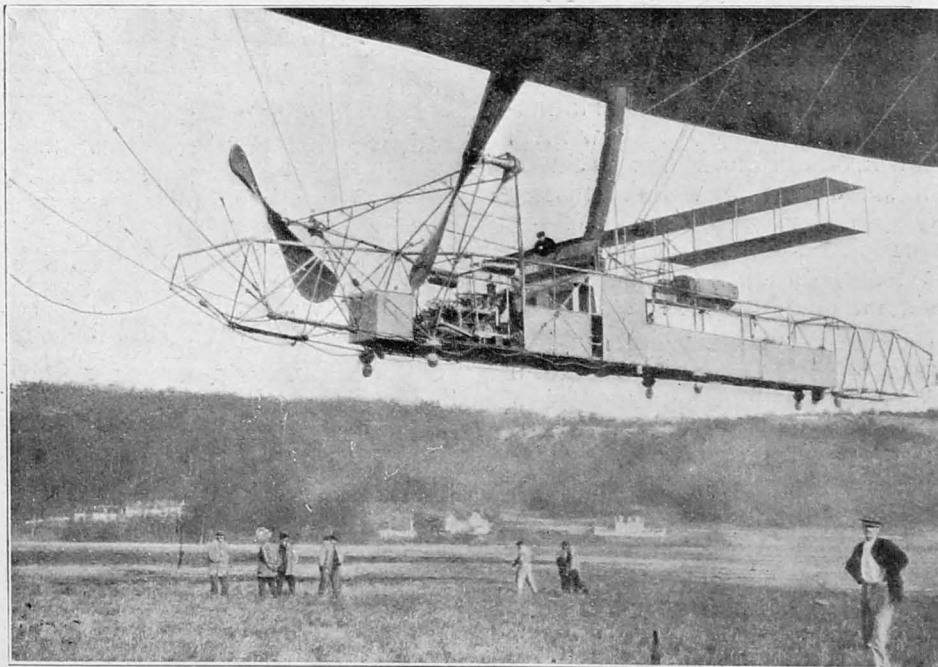
stała się znowu niezwykle aktualna skutkiem ogólnego napięcia sytuacji międzynarodowej; obecnie niezbyt miłe odwiedziny Zeppelina w francuskiej twierdzy stały się jakby namacalnym przedsmakiem niebezpieczeństw przyszłości.

Aby zdać sobie sprawę z słuszności czy przesady tych obaw, rozpatrzmy materiał, jakim oba współzawodniczące państwa rozporządzają do przyszłej wojny w powietrzu. Ilością, sprawnością i doskonałością balonów górują Niemcy bardzo znacznie nad Francją. Mowa cyfr jest ścisła i przekonująca: Otóż z końcem 1912 r. posiada Francja 11 balonów motorowych, w tej liczbie kilka niezdatnych do użycia, o pojemności ogólnej gazu 70.000 mtr. sześć.; największy z nich ma zaledwie 9.000 mtr. sześć. pojemności; największa szybkość wynosi 50 klm. na godzinę. Niemcy przeciwstawiają temu 26 balonów sterowych, przeważnie w dobrym stanie, o pojemności ogólnej 250.000 mtr. sześć., przeciwstawiają olbrzymi, z których największy ma 20.000 mtr. sześć. pojemności, a kilka po 15.000, z których każdy bez wysiłku przebywać może co najmniej 70 klm. na godzinę.

Prawda, Zeppeliny były, można by powiedzieć, prześladowane stale przez siły przyrody, lądowanie ich jest trudniejsze, aniżeli niesztynnych

lub półsztywnych balonów, katastrofa druzgocze całą sztywną budowę. Ale, przede wszystkim, dzięki tym katastrofom Niemcy nauczyli się bardzo wiele, nabrali doświadczenia, mogli wprowadzić i wprowadzili niejedno udoskonalenie; powtórze zaś, ta wada sztywności ciała balonowego staje się właśnie zaletą podczas wal-

ki powietrznej, ponieważ raniony pociskiem Zeppelin nie ginie na miejscu, co jest smutnym losem innych systemów. Bo jeżeli nawet pocisk ugodzi w balon, to niszczy tylko jeden lub dwa zbiorniki gazu, kryjące się wewnątrz sztywnej opony; inne mogą ocaleć i, dzięki temu, Zeppelin, choć osłabiony, utrzyma się jeszcze



Francuski balon wojskowy „Clément Bayard VII”.

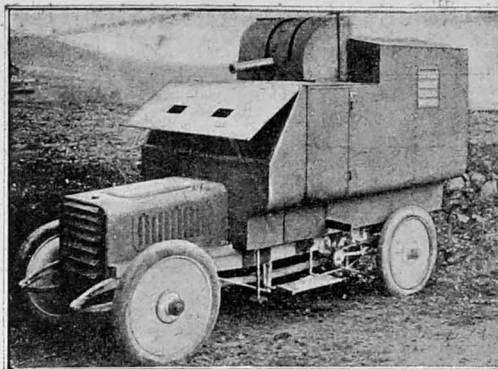
w powietrzu. Tymczasem rozdarcie powłoki w innym systemie równa się zupełnej katastrofie; trafiony balon spada, jak zabity ptak, na ziemię.

Na wszystkie te szczegóły zwrócił zupełnie otwarcie uwagę francuskich sfer wojskowych deputowany Veillal w jednym z tegorocznych zeszytów „France militaire”, dodając niedwuznacznie, że dla takiego statku powietrznego przebycie w ciągu jednej nocy drogi z Metzu do Paryża i z powrotem jest łatwym zadaniem, przypominając, że statek, unoszący swobodnie 5.000 klg. ciężaru użytkowego, może rozsiać po drodze sporo pocisków wybuchowych, wzbudzić panikę w stolicy, niszczyć tory kolejowe, forty i t. p. Francja zaś posiada dotąd tylko jeden statek, podobny do Zeppelina, chociaż zbudowany z drzewa, nie z aluminium, balon „Spiess”, podarowany armii przez inżyniera alzackiego, Spiessa. Na podstawie ostatniej uchwały parlamentu, siła powietrzna Francji wzmoże się wprawdzie w najbliższej przyszłości do 20 statków powietrznych, ale ponieważ i Niemcy nie zaprzestają zbrojeń powietrznych, więc stosunek jest i będzie nadal dla Francji niekorzystny.

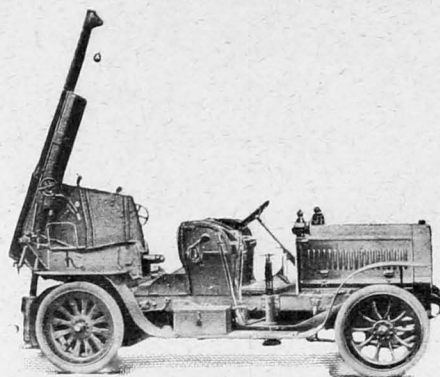
Za potęgę swą powietrzną uważała dotąd Francja wyłącznie aeroplany i przez czas jakiś przewyższała istotnie Niemcy ilością aparatów lotniczych, a przede wszystkim sprawnością swych pilotów. Ale, jak stwierdzają znowu sami specjaliści francuscy, liczba 334 ptaków powietrznych, oznaczona w roku ubiegłym przez najwyższą radę wojenną, jako minimum, to dopiero nadzieja przyszłości; dzisiaj 90 oficerów i 10 podoficerów, posiadających „brevet” pilotów, nie ma nawet jeszcze na wypadek wojny dostatecznej ilości aparatów, zdalnych do użytku. Nie można wątpić, że, wraz z potrzebą, kadry te wzmocniłyby się znacznie lotnikami prywatnymi, śpieszącymi na obronę zagrożonej ojczyzny, ale i to nawet może nie zapewnić jeszcze przewagi.

Albowiem nie można zapominać, że Niemcy, lekceważące zrazu lotnictwo wojskowe, dzisiaj już idą w niem naprzód krokami olbrzyma. W Strassburgu, w Doeberitz, w Johannistalu kształcą się szeregi pilotów, szeregi wynalazców dokonuje udoskonaleń; działalność jednych i drugich pokrywa zasłona tajemniczości.

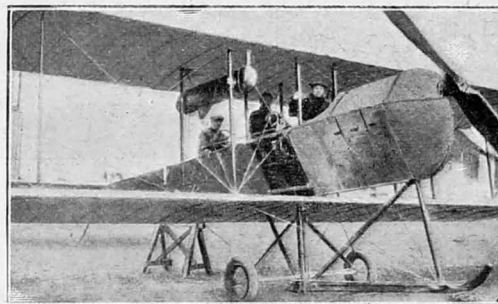
Czasem tylko wyjdzie na jaw jakiś szczegół, jak ten, na przykład, o którym korespondent „Matina” pisał w słowach następujących: „W troskliwie strzeżonym hangarze w Doeberitz kryje się „Gołąb”, prawdziwy mały pancernik powietrzny, wyposażony na przodzie mitralieżą, z której lotnik może dawać strzały, nie ruszając się z miejsca. Gdy ptak taki wzniesie się czasem w górę, można, omyliwszy czujność władz, dojrzeć przez lunetę małą rurę stalową, zwisającą z błyszczącego, metalowego



Niemiecki automobil pancerny do ostrzeliwania balonów.



Francuskie działo przeciwbalonowe, pomysłu kapitana Houberdona.



Francuski dwupłatowiec pancerny „Astra”.

kadłuba. Więc to są gołębie z Doeberitz! Jest ich już podobno dwanaście; 12 oficerów, związanych świątą przysięgą, dokonuje próbnych wzlotów i próbnej kanonady. Oczywiście, w największej tajemnicy.”

Tym pancernikom, jeżeli rzeczywiście istnieją i nie są tylko przywidzeniem paryskiego korespondenta, może Francja w obecnej chwili przeciwstawić jeden tylko opancerzony dwupłatowiec „Astra” z siedemdziesięciokonnym motorem, lecz nie posiadający broni; dalsze aeroplany tego typu będą dopiero dziełem przyszłości, narazie są tylko objęte ogólnym planem zbrojeń powietrznych. Wobec tajemnicy, jaką rząd niemiecki otacza swoje zbrojenia powietrzne, nie można zestawiać sił obu współzawodników w dziedzinie lotniczej; tem niemniej nie ulega wątpliwości, że ogromna początkowa przewaga Francji należy już dzisiaj do przeszłości i że albo bardzo zmalała, albo też nawet zeszła do zera.

I dlatego zrozumieć można patetyczne nawoływania bardzo poważnych pisarzy wojskowych francuskich, w rodzaju takich naprzykład: „Jeżeli nie zdecydujemy się

działać szybko, rok 1913 może doprowadzić do bankructwa naszego lotnictwa wojskowego, tak, jak rok 1912 zapisał się bankructwem naszych balonów motorowych. Jeszcze czas, należy działać, bo jutro może być zapóźno!”

W zakresie środków do walki w powietrzu i zwalczania balonów i aeroplanów przez wojska lądowe pracują Niemcy także energiczniej i skuteczniej od Francji. Nadzieje, przywiązywane do rzucania ręcznego, czy z pomocą aparatów, bomb z aeroplanu zawiodły; konkurs „aero-cible”, rozpisany przez braci Michelinów, nie dał żadnego prawie rezultatu, potwierdzając tylko nieudane próby, dokonane na terenie rzeczywistej wojny, w Trypolitanii. Tymczasem Niemcy, jak doniosło niedawno „Militaer. Wochenblatt”, skonstruowali już specjalne karabiny i pistolety do wystrzeliwania pocisków przeciw balonom i aeroplanom, wymyślili pociski ogniste, które rozrywają powłokę i równocześnie zapalają gaz balonu. A przecież właśnie, posiadając broń taką, staliby się doświadczeni i sprawni piloci francuscy bardzo groźnymi przeciwnikami dla niemieckich olbrzymów balonowych, następczących doskonały cel.

W kierunku tym może się Francja pochlubić tylko praktyczną armatką szybkostrzelną, umocowaną na samochodzie, co daje jej możliwość ścigania balonu nieprzyjacielskiego i atakowania go w najdogodniejszych do strzelania warunkach. Ale i pod tym względem Niemcy nie pozostali dłużni; w warsztatach rządowych zbudowano opancerzony samochód, kryjący szybkostrzelne działo. „Reńska fabryka wyrobów metalowych” w Duesseldorfie skonstruowała armatkę automobilową bez pancerza; z jednej i drugiej broni można strzelać podczas ruchu samochodu.

Narówni zupełnie współzawodniczą oba państwa pod względem udziału armii powietrznej w każdorazowych wielkich ćwiczeniach wojskowych, ćwiczenia lotników w rekonesansach i przewożeniu pośpiesznych wiadomości i rozkazów, pod względem kartografii balonowej, fotografowania miast, fortów, terenów ćwiczeń, ruchów wojsk i t. p. I dzięki temu, flota powietrzna staje się coraz istotniejszą i coraz ważniejszą częścią składową obu armii.

Tak przedstawia się w najogólniejszych zarysach bilans obu współzawodników. Dla Francji jest on niewątpliwie niepomysłny, co tembardziej pozwala zrozumieć podniecenie i rozdrażnienie, wywołane wizytą „Zeppelina” w Lunéville, wizytą, która mogła obudzić wizję innych jakichś odwiedzin w przyszłości, mniej pokojowych, bez możliwości powstrzymania nieproszonego gościa.

Stanisław Sierosławski.

Z literatury.

„MEDUZA”, poemat dramatyczny Cezarego Jellenty, Kraków. — Warszawa, Gebethner i Wolff.

Niepospolita w dziejach kultury świata postać mistrza włoskiego renesansu, genialnego Leonarda da Vinci, kusiła po wszystkie czasy poetów, muzyków i dramatopisarzy wszelkich narodowości, którzy w twórcy „Wieczery pańskiej” nie bez słuszności widzieli kwintesencję cywilizacyjnego dorobku epoki i najwyższy wykwint geniuszu sztuki. A nie brak też było w życiu da Vinci momentów, które usprawiedliwiały pożądanie poetów i trubadurów do ukoronowania tej świetnej postaci girlandą poetyckiego wieńca i uczynienia bohaterem legendy.

Doczekaliśmy się nareszcie, że i w naszym piśmiennictwie zjawia się utwór, niosący apoteozę geniuszu Leonarda da Vinci i czyniący go bohaterem nie tylko fantazji dramatycznej, ale także legendy, zespolonej z nią równolegle w dzieło muzyczne o wysokim artystycznym napięciu. Cezary Jellenta, znany krytyk i esteta, uczynił Leonarda da Vinci bohaterem fantazji dramatycznej wierszem p. t. „Meduza”.

Tekst swego dramatycznego poematu poprzedził autor przedmową, w której wyjaśnia motywy i szkielet swej dramatycznej koncepcji: „Niepowtórzona w historii moc, rozległość i wszechstronność geniuszu twórczego i badawczego nie układałaby się jeszcze w baśń, nieledwie w męt, gdyby nie inne nadto elementy tej postaci. Pierwszy — to podobne do cudu szarmonizowanie zmysłu naukowego w najbardziej surowym i obowiązującym, a najwyższych regionów sięgającym znaczeniu słowa, oraz daru jasnowidzącego, odkrywczego i kombinatorskiego, wyprzedzającego ludzką pomysłami maszyn latających i użycia siły pary, urządzieniami technicznymi i opanowaniem praw przyrody o czterysta lat — z najwyższym, do jakiego sztuka wznieść się mogła, napięciem i wyrafinowaniem daru kształtowania malarskiego, harmonii kolorystycznej, dokładności i subtelności, pełnej niezmiernych, a przecież prawdziwych półśmiejchów, uroków, niedomówień tajemniczych pschy, wdzięku najwyższej rasy, wytworności i muzycznie jakoby potraconego związku z światem absolutnego ducha. Drugi — to tragiczna znikomość dzieł Leonarda nawet malarskich t. i. tych, których stosunkowo najwięcej uszło z życiem”.

Autor dramatu o da Vincim, podejmując jakkolwiek temat, przystępuje do dzieła z całym aparatem naukowego i myślowego przygotowania. Znajomość ducha epoki renesansu włoskiego, cechuje od początku do końca koncepcję jego dramatu i daje temu utworowi szerokie tło, na którym plastycznie, barwnie i majestatycznie zarazem występuje postać Leonarda da Vinci.

Treść Meduzy osnutą jest na związanej ściśle z życiem wielkiego malarza

legendzie o powtarzaniu jednego z zaginionych później dzieł jego — znanej z licznych biografii da Vinci „Meduzy”. W formie, w jakiej ją autor przedstawił, jest ona tworem bogatej fantazji, kojarzącej umiejętnie prawdę historyczną z prawdą psychologiczną. Leonardo kocha cudnej piękności kobietę Gasparę, jedną z tych kuszących dam renesansowych, stworzonych na to, aby miłość nie była burzą walk w duszy geniusza. Jest ona źródłem jego natchnień, duchem, który nieś ma najlepsze pomysły. Mistrz pragnie uczynić zadość jej gorącemu życzeniu i maluje jej portret z głębokim namaszczeniem i w tajemnicy przed uczniami.

Ale Gaspara to demon złego, to zalotna a pusta kobieta, którą do pracowni mistrza przywiodła nie miłość, ale próżność. Jako głośna piękność, pragnie, aby do wieńca jej sławy przybył jeszcze jeden liść: uwiecznienie jej przez wielkiego mistrza na płótnie.

Nie kocha ona Leonarda, pragnie tylko zadowolić próżność i wypróbować na nim siłę swego czaru. W chwili gdy da Vinci z bólem spostrzega, że podlegał złudzeniu, uświadamia go do reszty o zbrodniczym typie Gasparę jego modelka i pomocnica Demela, która, wiedząc o zazdrości, podżega mistrza do zemsty i nawet prosi go, aby jej pozwolił skrycie zabić Gasparę. Leonardo, że sam także powziął postanowienie srogiego odwetu, chce go wykonać po swojemu w imię zasady: „prawdziwy władca, kiedy zabić musi, zabija sam” i samą tylko sztuką swoją. Zamienia tedy portret Gasparę na głowę Meduzy. A w tę głowę, w demoniczny wyraz jej twarzy zaklina tyle grozy, że rzut oka na dzieło wystarczy, aby tę kobietę zdruzgotać moralnie i zgłuszyć jej śmierć fizyczną. Gdy więc Gaspara zjawia się ponownie i na żale jego odpowiada tem samem okrucieństwem, zaś na słowa bardziej szorstkie obraża go powtarzaniem plotek o jego związku z dyabłem, Leonardo ma już przygotowany cios zabójczy. Na chwilę udaje przejechanego i zrezygnowanego, ale nagle odsłania głowę Meduzy i tym widokiem zabija Gasparę.

Tego rodzaju tragiczne rozwiązanie konfliktu jest istotnie pomysłem niezwykle śmiałym i oryginalnym i zupełnie odpowiadającym poetyckiemu założeniu dramatu. Niedopuszczalne lub wprost wykluczone w każdej innej dramatycznej koncepcji ze względu na zasadnicze nieprawdopodobieństwo sytuacji, tutaj stało się dopuszczalnym. Opiera się ono nie tylko na domniemaniu, że Leonardo znalazł w genialnym artyźmie dostateczne środki na to, żeby obrazowi udzielić aż mocy zabijania, ale także i na gwałtowności wrażenia nieoczekiwanego. Wsparło autora w tym pomysle także podanie o Meduzie, która w pojęciu ludów klasycznych, a potem i w Boskiej komedii Dantego, przedstawiona jest, jako groźne straszdyło, mogące samem wejrzeniem zamieniać ludzi w glazy.

Malując taką Meduzę, da Vinci złożył dowód siły, będącej symbolem niezwyklej potęgi ducha, działającej piorunująco. Współczesne kroniki spisują, że istotnie wymalował on raz jakieś straszdyło, tak niewypowiedzianie okropne, że ludzie na jego widok mdleli z przerażenia. Tak więc uśmierające czarnoksiężstwo pędzla Leonarda nie jest ani wymysłem, ani przesadą autora, lecz tylko odnowieniem wielkiego w swem wewnętrznym znaczeniu faktu.

Logicznem jest, że takie zwycięstwo nie napędza bynajmniej artysty weselem, owszem pogrąża go w żałosci i smutku i odnawia w nim uczucie samotności.

Wyrok tego przeznaczenia wkłada autor w usta wieszczych duchów, które w akcie drugim głoszą: „I odtąd będziesz na świecie sam!”

Leonardo zbyt wielką i umiłowaną był postacią, aby tragedia jego miłości mogła być w odrodzeniu włoskiem sekretem. Więc też autor, trzymając się ducha epoki, czyni nieszczęśliwą miłość i tragiczny porachunek Leonarda z Gasparą czemś, o czem wiedział cały lud. Kara, spotykająca Gasparę, rodzi się nawet w sumieniu karzącego ludu niezależnie od obrażonej miłości własnej Leonarda. Z woli ludu tedy, żywo pamiętającego ofiary pięknej okrutnicy, zawisł nad nią wyrok, który się potem spełnia w taki sposób, że trudno orzec, kto więcej się do tego przyczynił, czy malarz przez dokonanie okropnej metamorfozy obrazu, czy też zamaskowane postaci z ludu, które w stosownej chwili rzuciły na nią śmiertelny strach.

Dramat jest krótki i zwięzły i rozwija się szybko w szeregu scen barwnych i bogatych treścią.

Meduza, jako dzieło, przeznaczone dla teatru, czy to w formie dramatu poetyckiego, czy też opery, przedstawia szerokie i wdzięczne pole dla reżyserskiego popisu. Może być widowiskiem, jak mało które, efektownem, barwnem i porywającym ze względu na bogatą skalę nastrojów, od najbardziej wiosennych i pogodnych do ponurych i groźnych, i ze względu na tło renesansowe i stronę kostumową.

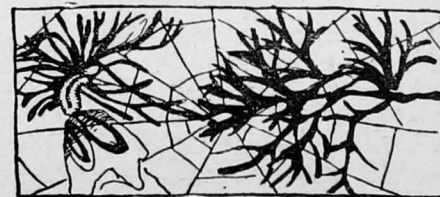
Dla zrozumienia tekstu fantazji autor podał na końcu książki przypisy, objaśniające psychologiczne tło fantazji, dające portret duchowy Leonarda da Vinci objaśniające znaczenie symbolu Meduzy w podaniach i sztuce.

W. Pr.

Jerwicz. „WIRA HORECKA”. wydawnictwo „Bluszcz”. Warszawa, 1912.

Powieść, przedstawiająca w dość potocznej formie dzieje jednego życia, życia bezcelowego panny osiemnastoletniej, wydanej za mąż bez miłości za przeciętnego salonowca, pana Karola, która całe życie pragnie i tęskni, chociaż sama wyraźnie nie wie, do kogo i do czego. Miłość do malarza, Jerzego, który maluje jej portret... przerwana śmiercią córki... potem suchoty bohaterki... no, i ostatecznie, odbiera sobie życie wystrzałem z malutkiego (oczywiście), pięknego i błyszczącego rewolweru, wyjętego z malej szkatułki z kości słoniowej ze złotym zamkiem... Do końca pisze pamiętnik, w którym tak ostatecznie, dość trafnie, określa swoje dusze: „Moja dusza, to był tylko balonik... Napelniałam go wonią egzotycznych, dzikich marzeń, sypałam weń garściami spostrzeżenia życiowe, co były, jak dym... I widzisz, ojcie, ukuła go mała szpileczka i pękł... Teraz leży zeschnięta, czerwona skorupka... Że piszę: czerwona — wybacz... może była zielona lub niebieska...”

Powieść ta jest poniekąd dokumentem bezcelowości, zarówno w stosunku do życia, jak i do literatury. Nie daje bowiem nawet przeczuć celu, które obowiązują rzetelną sztukę. Powieść ta została odznaczona na konkursie „Bluszczu”.





Posel Wł. L. Jaworski.



Prezes Koła Polsk. dr. Leo i eksc. dr. Głabiński.



Dr. K. Lewicki, wódz ukraińców.



Posel Stapiński.

Bankructwo reformy wyborczej.

Jest to doniosły i znamieny fakt w politycznym życiu polskiem — ten upadek projektu reformy sejmiku galicyjskiego, o którą rusini walczyli tak długo, namiennie i bez przebierania środków, a którą rząd wiedeński uważał za tak konieczną.

Dwie perspektywy ta reforma otwierała: demokratyzację szerszą społeczeństwa polskiego i regulację stosunku dwóch społeczeństw słowiańskich, na jednej żyjących ziemi. Z tych względów reforma popierana była przez rusinów, przez demokratów historycznych i przez ludowców.

Popierał ją jeszcze zgóry, w sposób potężny i wytrwały, namiestnik Bobrzyński, któremu ministrowie nakazywali, wobec naprężonej sytuacji politycznej świata, doprowadzić do pokoju między dwoma waśniącymi się żywiołami galicyjskimi — za wszelką cenę.

Konserwatyści krakowscy szli do reformy niechętnie, — i nie dziw, że odstąpili ją od chwili, gdy żadna stąd na nich nie spadała odpowiedzialność, szybko, lekko i niezawodnie z radością w duszy. Stając za nią, spełniali oni to, co uważali za obowiązek ciężki. Ani rozszerzenie siły rusińskiej, ani dopuszczenie do decydowania o sprawach kraju warstw szerszych, niewyrobionych, będących stałym żerem agitatorów za reformą, w ich oczach nie mogło przemawiać. Względ na spokój, którego potrzebuje teraz tak bardzo Austria, a którego domaga się tak natęczywie rząd wiedeński, grał w ich decyzjach rolę, bezsprzecznie, znaczną.

Konserwatyści podolscy, autonomiści, u których ten ostatni wzgląd mniej zaważył, wystąpili ostro przeciwko reformie. Dla nich była to reforma fatalna. Niemniej zdecydowanymi wrogami jej byli narodowi



Namiestnik dr. M. Bobrzyński przed Sejmem.

demokraci. Upatrywali oni w zmianie stosunków przede wszystkim klęskę narodową. Dwa żywioły obecne głównie na tej reformie zyskiwały, kosztem polskiej siły: żywioł, który się dotychczas w Galicyi polakom nie przeciwstawia, ale w Królestwie uczynił już to z całą bezwzględnością, — żydzi, i żywioł, który wydał i toczy z polakami walkę zażartą i bezwzględną, — rusini. Żeby te nowe ustępstwa, — rozumują

narodowi demokraci, — choć doprowadziły do zgody albo spokoju! Ale wiemy wszyscy, że tak nie jest. Kompromis z rusinami jest niemożliwy i wkrótce po otrzymaniu koncesji rozpoczną oni nowy bój, z widokami tem pewniejszego zwycięstwa o nowe koncesje. Nie przestaniemy słyszeć od nich wołania: „Za San!“ I jeden jest tylko sposób realny ich zadowolenia: wynieść się za San.

Ponieważ reforma prawa sejmowego musi być uchwaloną przy obecności trzech-czwartych posłów, nie miała ona widoków przejścia nawet i w tym razie, gdyby episkopat galicyjski nie wystąpił z historyczną swą enuncyacją. Podolacy i narodowi demokraci zdekompletowaliby sejm.

Do tego nie było potrzeby uciekać się. Episkopat polski wypowiedział się, że reforma zaszkodziłaby interesom Kościoła. Nie był to względ jedyny wystąpienia biskupów, ale wystarczył, aby wycofać konserwatystów z tego, czego nie mogli nie uważać za niebezpieczną awanturę.

Od tego momentu reforma nie miała za sobą większości, wymaganej nawet przy pełnej i kompletnej izbie sejmowej.

Lwów.

Wasz.

Gremialne oświadczenie się biskupów polskich w Galicyi przeciw pewnym postanowieniom projektu reformy wyborczej sejmowej rozbiło na razie ten projekt, bliski już urzeczywistnienia, i wytworzyło szereg doniosłych zmian w bieżącym życiu politycznym zaboru austriackiego.



Biskup przemyski, ks. Pelczar.



Ks. biskup krak., A. Sapieha.



Bisk. tarnowski, ks. L. Wałęga.



Most, łączący Podgórze z Krakowem.



Rynek w Podgórzu.

Kraków powiększony.

Stary Kraków ukończył całkowicie proces wchłaniania miejscowości sąsiednich, które, acz zrosnięte z nim organicznie, stanowiły przecież odrębne jednostki administracyjne. Przed paru laty zagarnął w swe posiadanie dwanaście gmin podmiejskich, otaczających go wieńcem, rządzonych przez dwunastu autonomicznych wójtów i przedstawiających dwanaście urozmaiconych obrazków małomiasteczkowego zacołania. Temu procesowi unifikacji opierał się do ostatka jeden tylko jeszcze sąsiad, najmniejszy i najbardziej ucywilizowany, bliźniacze miasto Podgórze, oddzielone od Krakowa Wisłą, ludne, zamożne, dobrze zagospodarowane, posiadające zaczątki wielkofabrycznego przemysłu. Po licznych szturmach, przypuszczanych z lewego brzegu Wisły, i długich układach o kapitulację, wywiesiło wreszcie i Podgórze białą flagę. Warunki poddania się uzyskało honorowe w całej pełni, przez szereg lat jeszcze zachowa rozliczne przywileje, jako wspomnienie utraconego samorządu, niemniej znikło z geograficznej karty i jest odtąd już tylko jedną z dzielnic „Wielkiego Krakowa”. Żywot miasta Podgórza nie był zresztą ani długi, ani obfity w świetne tradycje. Uniestwione miasto zawdzięcza swe założenie dowcipowi cesarza Józefa II, który po pierwszym rozbiórce zaprzagnął wytworzyć podupadłemu polskiemu Krakowowi groźną konkurencję i wzniósł ów gród, nadając mu zapomniane dziś całkowicie miano: „Josefsztad”. Koncept Józefa II chybił cokolwiek. Ani „Josefsztad” (nazwa ta budzi dziś w Podgórzu uczucie, dalekie od pietyzmu dla pamięci jej twórcy) nie stał się placówką niemiecką, jak to leżało w intencji dowcipnego cesarza, ani nie przeszkodził odrodzeniu się swego dostojnego sąsiada, który dawnego rywala wessał na koniec w swój organizm. Przez przyłączenie Podgórza znalazło się na terytorium gminy krakowskiej parę czcigodnych pamiątek. W obrębie Krakowa znajdują się dziś malownicze Krzemionki, związane z pamięcią polskiego Fausta, Twardowskiego, i starożytny, na wzgórzach te rzucony kościółek św. Benedykta, gdzie ongi miała stać gontyna pogańska, i najstarszy pomnik krakowski: mogiła Krakusa. „Wielki Kraków” jest wreszcie nasycony. W ciągu ostatnich stu kilkunastu lat wchłonił w siebie trzy odrębne miasta: Kaź-

mierz, Kleparz, Podgórze. Z Łobzowa, Prądnika, Zwierzyńca i całego wieńca innych podmiejskich wiosek porobił swe przedmieścia. Co było tylko dokoła niego, to wszystko do siebie „przyłączył”. Liczy dziś około 190.000 ludności, a na rozległych swych przestrzeniach obecnych, obliczonych na długi rozwój, po-

mieścić mógłby — choćby milion. Kiedyś doczeka go niewątpliwie. Górniczy młotek, który stuka badawczo o bogate pokłady krakowskiego węgla, wróży starej stolicy Jagiellonów przyszłość, jeśli nie tak pełną chwały, jak dni minione, to jednak tętniącą życiem potężnem.

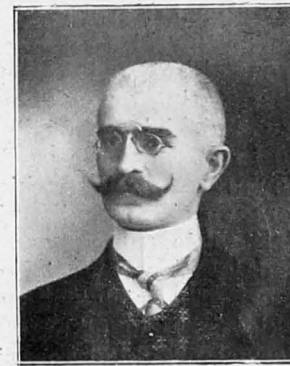
Clar.



Dr. Eugeniusz Barwiński.



Dr. Rudolf Kotula.



Dr. Wilhelm Rolny.

Biblioteka uniwersytetu lwowskiego.

W jednym z najpoważniejszych ognisk polskiego ruchu naukowego, w Bibliotece uniwersyteckiej we Lwowie, mieszczącej się od kilku lat w nowym, wspaniałym gmachu, zaszedł szereg zmian i posunięć, godnych zanotowania. Przed rokiem naczelny kierunek instytucji objął wybitny i zasłużony pracownik na niwie naukowej, prof. dr. Bolesław Mańkowski. Obecnie dokonały się dalsze zmiany. Straciła Biblioteka znanego historyka, dr. Eugeniusza Barwińskiego, który, mianowany dyrektorem archiwum rządowego w namiestnictwie na miejsce przedwcześnie zmarłego ś. p. dr. Winiarza, przeszedł na stanowisko, bardziej odpowiadające kierunkowi jego pracy. Drugie miejsce po dyrektorzce Biblioteki zajął dr. Wilhelm Rolny, zasłużony około wewnętrznego ładu w instytucji, na inną wreszcie odpowiedzialną pozycję wysunął się dr. Rudolf Kotula, znany ze swej równoczesnej działalności w Bibliotece Baworowskich we Lwowie. Z zastępu młodszych pracowników weszli na stanowiska wybitniejsze: docent Uniwersytetu dr. Jan Nowak, historyk dr.

Bronisław Pawłowski i dr. Włodzimierz Zagórski. Skład i kierownictwo Biblioteki uniwersyteckiej lwowskiej zapewniają jej rozwój najpomysłniejszy.

20-lecie zrzeszenia dziennikarzy.

Towarzystwo dziennikarzy polskich we Lwowie, najstarsze tego rodzaju zrzeszenie na ziemiach naszych, a działalnością swą obejmujące zabór austriacki, obchodzi 20-lecie swego istnienia. Założone w r. 1893 przez grono młodych wówczas lwowskich dziennikarzy z programem wzajemnej pomocy, rozwinęło się, jak na trudne i chude stosunki poskie,



Adam Krechowiecki.

znakomicie, zebrało pokaźne mienie (około 400.000 koron) i od

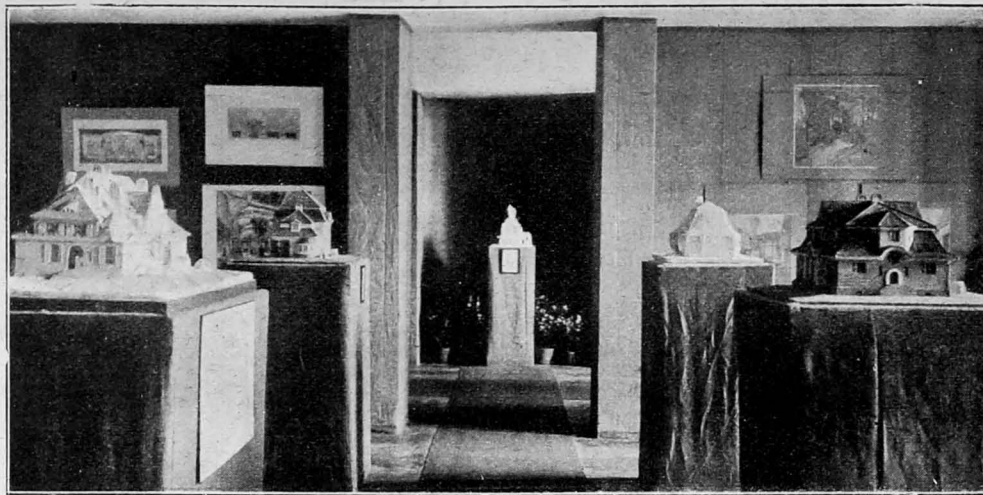
szeregu lat już spełnia humanitarne swe zadanie, wypłacając emerytury i pensje wdowie i sieroce. W dwudziestoletnim bilansie swym Towarzystwo może z dumą wskazać także na wpływ moralny, jaki wywarło w świecie dziennikarskim Galicyi, zacieśniając węzły koleżeństwa, zbliżając do siebie na neutralnym gruncie interesów humanitarnych i zawodowych jednostki, rozdzielone ideową przynależnością, łagodząc ostre dziennikarskie obyczaje, a tem samem dobroczynnie oddziałując na życie publiczne, którego prasa jest jednym z głównych instrumentów. Umiało sobie Towarzystwo swem zawsze poważnem stanowiskiem na zewnątrz zapewnić sympatyę, mir i szacunek całego społeczeństwa. Te plusy 20-lecia są zasługą przede wszystkim garści ludzi, którzy na kierowniczych stanowiskach oddawali instytucji bezinteresownie przez szereg lat swe siły, czas, zapał i najlepszą wolę. Adam Krechowiecki, znakomity pisarz, a dzisiejszy prezes Towarzystwa, L. Zajączkowski, Kazimierz Skrzyński, K. Ostaszewski-Barański, Teofil Merunowicz, Wacław Masłowski, Aleksander Miński, Karol Kucharski, Edmund Kolbuszowski, to najzasłużeńsi z tego grona, którego inicjatywą, trudem i ofiarnością organizacja dziennikarzy polskich w Galicyi dźwignęła się i rozrosła. Przez długi czas było Towarzystwo lwowskie jedyną kooperacją sił dziennikarskich w Polsce. Dziś takie same stowarzyszenia posiadają Warszawa i Poznań, a także i „czwarta dzielnica“ nasza, za Atlantykiem. Dziennikarze lwowscy dali pierwszy przykład reszcie kraju.

Lwów.

Jas.

Lwów, dążący ku piękności.

Młode, sympatyczne stowarzyszenie lwowskie „Zespół“, zawiązane przed dwoma laty na wzór krakowskiej „Sztuki stosowanej“, pod hasłem krzewienia estetyki w życiu codziennem, wystąpiło znowu z niewielką, lecz bardzo zajmującą i szczęśliwie pomyślaną wystawką. W trzech salach pomieszczono okazy, dające się na trzy grupy podzielić. Pierwsza, to plakat artystyczny, okładka książki i okazy wywieszek sklepowych, dostrojonych do wymagań estetycznych; druga obejmuje projekty urządzenia wnętrza i tkaniny; trzecia: modele i plany domów w otoczeniu ogrodowem. Dużo tu rzeczy oryginalnych, ciekawych, doskonale pomyślnych i wykonanych, a Lwów, który trochę po parwieniuszowsku lubuje się w bogatej ozdobności, ma na tej wystawie sposobność przekonać się, jak wybornie kojarzą się z sobą prostota i smak wytworny. Stowarzyszenie „Zespół“, któremu przewodniczy znany pisarz-estetyk, Marian Olszewski, zasłużyło się dobrze odmiładzającej się kulturze artystycznej Lwowa. Jeden z krytyków, W. Dąbrowski, nazwał wystawę trafnie „ciosem, wymierzonym w serce nudy“, płynącej z banalności. Lecz ciosy te powinny padać głębiej, aby efekt ich dał się zauważyć także poza salami przygodnych wystaw. Lwów powinien użyczyć stowarzyszeniu „Zespół“



Wystawa Stowarzyszenia „Zespół“ we Lwowie.

jaknajwydatniejszej opieki, powinien wesprzeć je materialnie w jego dalszem, dobroczynnem działaniu wychowawczem i umożliwić mu większą intensywność tego działania, powinien, przedewszy-

stkiem, nauczyć się szanować tych swoich nielicznych ludzi, którzy celowo i umiejętnie dążą do nasycenia szarzyzny jego codziennego życia światłem piękną. S.

Lwów.

Pożar miasteczka w Galicyi.

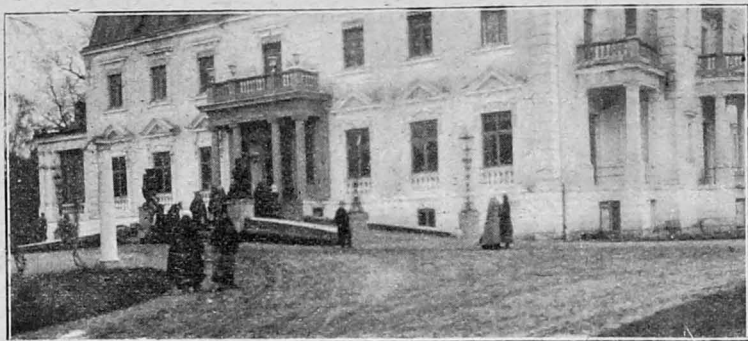


Kamionka Strumiłowa w Galicyi po pożarze.

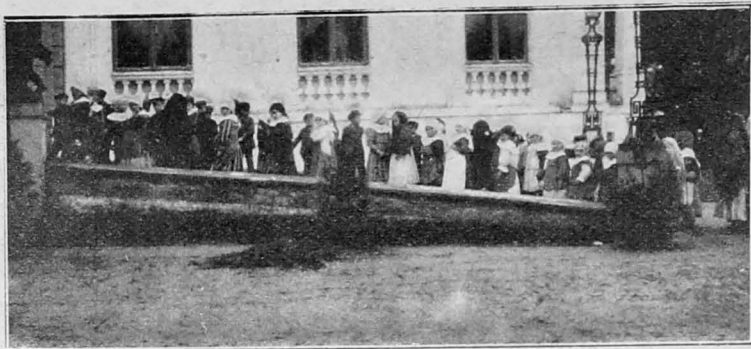
Prawa polityczne kobiet w Galicyi.



Deputacja kobiet opuszcza gmach Sejmu we Lwowie, po wyrażeniu swych żądań politycznych u marszałka kraju.



Pałac w Teresinie.



Ochronka dla dzieci w Teresinie.

Morderstwo w Teresinie.

Romanse kryminalne są tylko marnem naśladownictwem rzeczywistości, która umie otoczyć nieraz czyny zbrodnicze nieprzeniknioną gęstwiną tajemnicy. Oto już dni dziesięć upłynęło od morderstwa księcia Władysława Lubeckiego w parku teresińskim, otaczającym jego podwarszawską rezydencję, a żaden promień światła nie oświecił jeszcze tego czynu, całkowicie niezrozumiałego. Książę Władysław pochodził z arystokratycznej rodziny, która dała Polsce najtrzeźwiejszego ongi z mężów stanu, ministra skarbu za Odnowione Królestwo. Zajmował się sportem, kochał się w automobilizmie i był prezesem Warszawskiego Towarzystwa Samochodowego. Rodzinne dobra jego leżały w Grodzieńskiem. Przed laty kilku kupił od p. Epsteina piękny Teresin, ozdobiony pałacem, będącym dziełem zbyt krótko mieszkającego wśród nas znakomitego artysty francuskiego, Arreufa.

W parku rozległym, w pewnej odległości od tego pałacu, znaleziono w dniu 21 kwietnia ciało właściciela. Dokonane oględziny zwłok wykazały rany postrzałowe w piersi i rany cięte w czaszkę. Lekarze wywnioskowali, że książę zginął od kul brauningowych, ale morderca nie był widocznie pewien swojego dzieła; na leżącego już na ziemi rzucił się z brauningiem i ostrym kantem magazynu zadawał mu w głowę ciosy liczne i zapalczywe. Zmarły nie został ograbionym. Zbrodni dokonano najwidoczniej z namyślności jakiejś, bez materyalnych kalkulacji.

W tym czasie księżna Władysława, z domu hrabianka Zamoyska, wraz z synem, Janem, bawiła w Paryżu. W pałacu teresińskim dostrzymywał księcia towarzystwo ordynat baron Bisping, sportowiec, jak i książę, człowiek z tego samego świata, tych samych upodobań, w jednym wieku i w dodatku spowinowacony z gospodarzem. I on ma też za żonę hrabiankę Zamoyską, siostrę stryjeczną księżny Lubeckiej. Baron Bisping opuszczał właśnie Teresin, aby wrócić na rodzinną Litwę. Wyje-



Miejsce, gdzie znaleziono zwłoki ś.p. ks. W. Druckiego-Lubeckiego. Miejsce to obecnie już ogrodzono; stanie tu w przyszłości pomnik.



Ordynat baron Bisping



Dziewcząt z Teresina, które słyszały strzały i wołanie o pomoc.



Przywiezienie skrzyni z trumną dla zwłok ś.p. ks. Druckiego-Lubeckiego.

chali razem. Ale na drodze księciu zaszli drogę dwaj ludzie, ubrani z waszecia, których wiozła bryczka, w parę kuców zaprzężona. Książę przystanął, rozpoczął rozmowę, słuchał jakichś długich i nudnych wywodów, odpowiadał na nie, wdał się w jakieś spory.

Gościa to znudziło.

— Pójdę na stację sam...

Książę pewno zaproponował mu konie.

— Przepadam za piechurstwem...

Rozstali się.

Ordynat Bisping podążył do stacji. Było już zapóźno. Pociąg odszedł. Co robić na nudnej stacji? Piechur z zamilowania, człowiek ekspansywny z temperamentu, puścił się w kierunku najbliższej stacji po planicie. Dróżnik sprosił go na ścieżkę uboczną. Tak przybył p. Bisping do Błonia, odległego o wiorst dwanaście. Tu wsiadł do najpierwszego pociągu i wrócił do Warszawy, skąd niezwłocznie wyjechał na Litwę.

Sprowadzono go z niej telegramami alarmującymi zaraz nazajutrz.

Oto i wszystko, co wiadomem jest pozytywnego o tej tajemniczej zbrodni.

Przez dni kilka śledztwo i opinia krążyły wokół nazwiska p. Bispinga, spodziewając się stąd światła informacji. P. Bisping nic jednak nie wie o tem, co się stało po jego odejściu. Śledztwo energicznie poszukuje owych dwóch rozmówców, ubranych „z waszecia”, i owej pary kuców. To pewno jedyna nitka do kłębka.

Reszta jest, jak dotychczas, bałamuctwem.

Ale która sprawa kryminalna obeszła się bez bałamuctwa?! I ileż razy bałamuctwo po to tylko stanęło do sprawy karnej, aby zatrzeć ślady, pomylić ścieżki i ułatwić mordercy wymknienie się z sieci?!

Bałamuctwo chwilowe: podobno dziewczyny, pracujące w polu poza parkiem, słyszały krzyki, wołające o pomoc.

— A czemużeście nie leciały na pomoc?!

— Leciałyśmy...

— To czemużeście nie doleciały?

— Bośmy się bały kogo spotkać...

Bohaterskie teresianki...

Bałamuctwo dłuższe: dnia zbrodni na stacji Teresin wykupiono jeden tylko bilet drugiej klasy. Wy-

Z pogrzebu ś. p. ks. Druckiego-Lubeckiego.



Młody ks. Drucki-Lubecki, przybyły na pogrzeb swego ojca.



Ks. Woroniecki i ks. St. Lubomirska na pogrzebie ś. p. księcia Druckiego-Lubeckiego.

kupił go nieznajomy mężczyzna, bardzo zmieszany, gdy pokazał się na stacyi, i usiłujący nie dać poznać swej twarzy.

Może to — on?!

Czas jakiś Warszawę pasyjonowała tajemnica tego dziwnego nieznajomego. Aż ktoś genialniejszy spostrzegł, że, skoro bar. Bisping nie zdążył na pociąg do Teresina, opuściwszy księcia przed zbrodnią, tembardziej na tenże pociąg nie mógł zdążyć zbrodniarz.

Ergo... zbrodniarza w tej chwili nie widać na horyzoncie przypuszczeń. D.

Krawiec Damski St. Strzemecki

Marszałkowska 123. Tel. 19-68.

Na sezon wiosenny: KOSTYUMY, PALTA i t. p. Ostatnia moda. Wielki wybór materiałów krajowych i zagranicznych.

Czytajcie „MIESIĄC ILUSTROWANY”! Treść aktualna i zajmująca. Liczne ilustracje. Zadać w księgarniach. Redakcja Wspólna № 45. Zeszyt kop. 60

Z teatru hiszpańskiego.

W pierwszym teatrze hiszpańskim, w „Teatro espanol” w Madrycie, wystawiono świeżo sztukę, napisaną w Warszawie przez żonę prof. Wincentego Lutostawskiego, panią Zofię Casanova, p. t. „La Madeja”, czyli „Omotani”. Powodzenie było olbrzymie, teatr był zapelniony przez najwybitniejsze osobistości Madrytu; znakomitej poetce wieszono tryumfu na nowym polu twórczości.



Zofia Casanova.

Twórczość Zofii Casanova niezwykłą ma historię. W 25 roku życia zdobywszy już poetycką sławę, która, jak sen z bajki, przysłała opromienić jej smutne dzieciństwo, opuszcza stolicę, świetną naówczas niezmiernie, dzięki rozkwitowi sztuki

i dzięki zamilowaniu króla Alfonsa XII do poezji—i, wyszedłszy za mąż za polaka, zamieszkuje z kolei w Kazaniu, Moskwie, Londynie, Krakowie i w majątku rodzin-

nym męża, gdzie poznawała lud polski i żywo interesowała się jego losem. W ciągu tych lat 25-ciu jeździła często do ojczyzny swej, ale podróże te, krótkie i zazwyczaj w lecie odbywane, o ile dużo dawały jej sercu, o tyle dla jej twórczości były minimalnym łącznikiem z rodzimą sztuką i nowym pokoleniem talentów.

Przez cały czas ten wydała tylko jeden mały tom poezyi i powieść, osnutą na tle stosunków rosyjskich, p. t. „Doktor Wolski”. I oto po 25-ciu latach zjeżdża na kilkoletni pobyt do Madrytu. Oddaje się całą duszą literackiej twórczości, która tryska, po dłuższej przerwie kilkunastu lat — tak bogata, pełna i piękna, jak nigdy przedtem.

„Madeja”, owoc tej nowej twórczości odrodzonej, wystawiony obecnie w Madrycie, znaczy właściwie: „Motek”. Jest to komedia obyczajowa, w której autorka przedstawia szereg scen z życia plaży wielkoświatowej i uwydatnia, w jak silnych więzach i złożonych splotach utrzymuje ludzi ich strona uczuciowa. Lekki dyalog, przypominający czasem Oskara Wilde'a, cięty dowcip i wytworna ironia — przyczem śliczny, jędrny język składają się na zalety tego niepowszednego utworu.

Dodać należy, że znakomita poetka hiszpańska zasilala kilkakrotnie i nasze pismo swemi cennymi utworami.

Madryt.

III.

Restauracja Hotelu Brühlowskiego

właściciel Jan Szepczycki 6984

ZIOŁOWA.

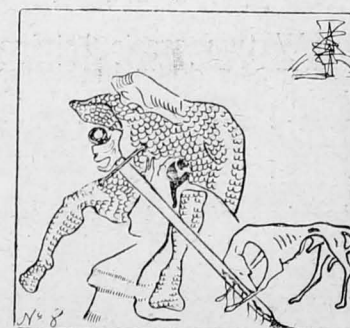
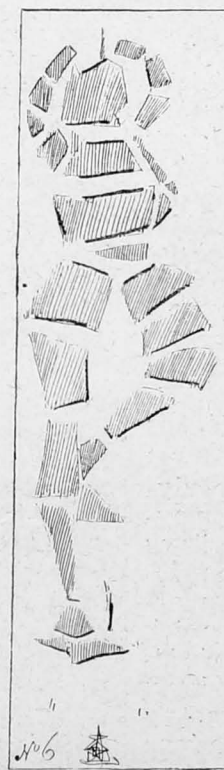
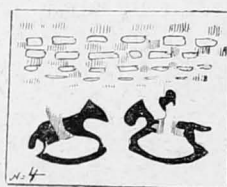
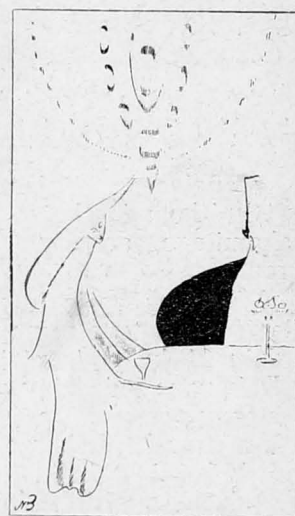


F. JANKOWSKIEGO.

PRZECHOWANIE MEBLI
W DOMACH WŁASNYCH
OPAKOWANIE I PRZEPROWADZKI MEBLI
KRAKOW, PRZEDM. 38, TEL. 11-22
„TWO SYRENA”

Wystawa „Młodej” sztuki w karykaturze.

Rys. Z. Nirnstein.



№ 1. Ach, jakie ciężkie czasy! .. № 2. Wiatr. № 3. Kompozycja niezaczęta. № 4. Z teki 4 letniego Kazia. № 5. Straszna zemsta małego Stasia. № 6. Kankan w wiekach średnich. № 7. A i B. bakterie „najmłodszych” niedomagań. № 8. Leszek XVII przepiłowya swą córkę na dwie nierówne połowy.

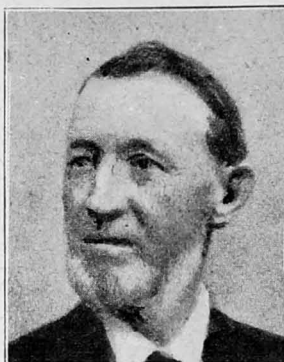
Na widowni — 2 tygodnia.



WOJCIECH KORFANTY podczas rozpraw w Sejmie pruskim rzucił frazes: „w Prusach małych zbrodniarzy ciągną na szubienicę, a wielkim zbrodniarzom stawiają pomniki”.



KAROL LIEBKNECHT, odśpiewał w parlamencie niemieckim machinacje firmy niemieckiej Kruppa, wykradającej wojskowe tajemnice... niemieckie.



KAROL HAGENBECK, twórca słynnego zwierzyńca w Stellingen. Jeden z najlepszych znawców zwierząt i autor książki o zwierzętach, zmarł w Hamburgu w 60-ym roku życia.

Jubileusz J. Kotarbińskiego.

W dniu 9-ym b. m. odbędzie się jubileusz zasłużonego pisarza, estetyka, krytyka i eseisty, a równocześnie długoletniego a wybornego kierownika scen polskich, w Krakowie i Warszawie, наконец wybitnego artysty dramatycznego, Józefa Kotarbińskiego. Dyrekcyja teatrów rządowych, pragnąc uczcić rzetelne i niespożyte zasługi jego na stanowisku kierownika literackiego i artystycznego, urządza na jego cześć i benefis jubileusz, wystawiając nieznany u nas dramat W. Sardou, p. t. „Ojczyzna”. Najlepsze siły dramat. naszego teatru biorą udział w sztuce, która niewątpliwie w dniu uroczystym wypełni teatr Wielki po same brzegi, co będzie żywym wyrazem uznania dla talentu jubilata.

Maryla Walrom-Borkowic,

kompozytorka i pierwszorzędną śpiewaczką polską, po ukończonych studiach w „Scola Cantorum” w Paryżu i akademii św. Cecylii w Rzymie, przebywa obecnie w Warszawie.



M. Walrom-Borkowic.

P. Walrom-Borkowic w bogatym dorobku artystycznym posiada wiele prac, wydanych przez firmy zagraniczne. Dotychczas nakładem E. Fromont w Paryżu wyszły następujące prace fortepianowe: „Incantatione”, „Ghiribizzo”, „L'ultimo canto”, w Lipsku zaś u D. Rahtera „Novelette № 3”, etiuda „Les eaux enjoleuses” oraz skrzypcowe: „Romance et intermède bohème” i „Ricordi”. W najbliższym czasie ukażą się dwie fantazy fortepianowe № 1 i № 3, „Reliefs musicaux-études” i cykl pieśni do słów Jerzego Guranowskiego p. t. „Ave

Vita”. Pani Walrom-Borkowic da się słyszeć poraz pierwszy w Warszawie w sezonie jesiennym, dając koncert kompozytorski w wytwornej sali Hermana i Grossmana, a jednocześnie odtworzy cały szereg wybitnych kreacji w operze.

SPORT W WILNIE

W czasie sezonu wyścigowego w dniu 10/23—11/24—13/26—15/28 i 16/29 Maja odbywać się będzie strzelanie do gołębi na nowo otwartym Handzie, w Rospieszce, na torze wyścigowym. Bliższych informacji udziela ks. Bohdan Zagiell

Wilno ul. Kazańska.

Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

SPRAWY POLITYCZNE.

Najważniejszy fakt tygodnia: Skodaru poddał się czarnogórcom. Turcy nie mieli żadnej racji bronić miasta, obecnie cudzego.

Ambaras dyplomacji europejskiej jest ogromny i komiczny: nie wie ona, co począć z tym fantem, który Czarnogórze teraz trzyma w ręku...

Austria podaje trzy projekty doprowadzenia Czarnogórze do opamiętania: działanie wspólne mocarstw, — mandat, dany Austrii i Włochom, — mandat Austrii samej.

Sazonow oświadczył, że Rosya dotrzyma słowa i nie będzie popierała nawet zwycięskiego króla Mikołaja.

Francya oświadcza, że w sprawie Skodaru iść będzie w tym samym kierunku zawsze, co i Rosya.

Rozbierany jest projekt wynagrodzenia Czarnogórze, za odstąpienie przyszej Albanii zdobytego Skodaru.

Serbia twierdzi, że wrazie akcyi Austrii przeciwko Czarnogórze zsolidaryzuje się z niem.

Z NAD NEWY.

Synod zabronił osobom nieprawo-

ślawnym trzymania do chrztu dzieci prawosławnych.

Głośnie manifestacje odbyły się w Petersburgu z racji wzięcia Skodaru przez czarnogórców.

LITERATURA I SZTUKA.

Zatwierdzoną została konwencya literacka między Rosyą a Niemcami.

Kierownikiem dramatu w warszawskich teatrach rządowych będzie od sezonu jesiennego p. Solski.

BEZROBOCIA.

Powszechne bezrobocie w Belgii nie powiodło się. Większość tylko robotników doń przystąpiła. Szło o rozszerzenie praw politycznych. Rząd obiecał tę sprawę rozpatrzyć w komisji parlamentu.

Bezrobocie na Śląsku jest czysto ekonomiczne. Strajkuje do 100.000 robotników, głównie polskich.

NASZE SPRAWY.

Dymisya Bobrzyńskiego będzie przyjęta. Jako następcę wymieniają Bilińskiego, Korytowskiego, Ad. Tarnowskiego.

W Wiedniu odbywają się narady między przywódcami partii, biskupami a prezesem gabinetu. Pogłoska o interwencji cesarza nie sprawdza się.

Stapiński ogłasza wielką wojnę: żądać teraz będzie głosowania czteroprzymiotnikowego, zniesienia rad powiatowych i obszarów dworskich, mających swą autonomię gminną.

Demokraci historyczni żądają od konserwatystów krakowskich stanowczego oznajmienia, ażeby będą oni przyczyniali się do demokratyzacyi Galicyi.

Rusini oznajmniają, iż nie zgodzą się na żadne już ustępstwa, nawet na powiększenie liczby członków wydziału krajowego do 8.

Rada Narodowa galicyjska prawdopodobnie nie zostanie wybrana po ukonstytuowaniu się przyszłego sejmu.

Parlament niemiecki odrzucił w 3 czytaniu wniosek rządu o dodatkach kresowych.

RÓŻNE.

P. Gabryelowi Dauchot zabroniono wygłoszenia odczytu w Warszawie.

Skonfiskowano „Słowo”, „Gazetę Nową” i „Gazetę Kujawską”.

Prof. Łokot, dawniej trudownik, teraz nacjonalista, woła o przeniesienie Instytutu agronomicznego z Puław do głębi Rosyi.

Nowe wydawnictwa.

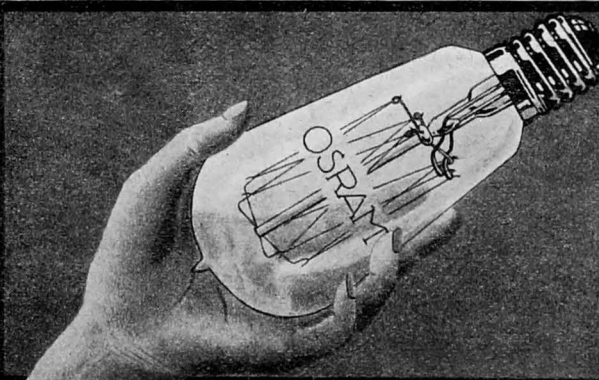
W szeregu nowych wydawnictw, poświęconych sprawie rozwoju handlu polskiego, korzystnie wyróżnia się „Skorowidz fabryk, zakładów przemysłowych oraz firm handlowych i technicznych polskich”, wydany staraniem inż. Stan. Sierkowskiego.

Lampka Osram

z drutu ciągnionego.

Niepękające

Oszczędność prądu 75%



Tylko napis „Osram”

gwarantuje za prawdziwość niepękających lampek „Osram” z włókem z drutu ciągnionego i tylko ten gatunek cieszy się sławą światową.

Dostać można wszędzie.

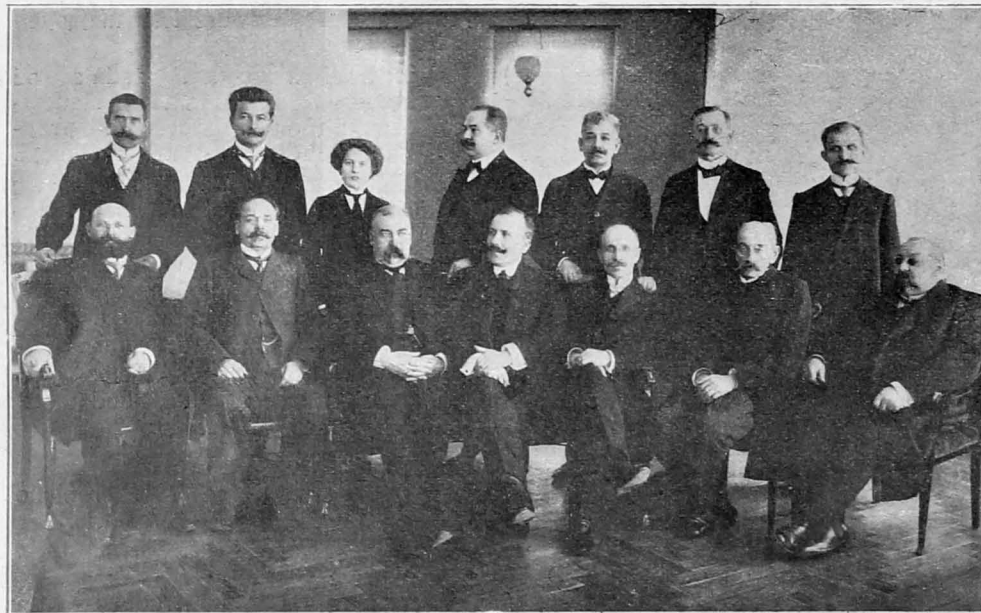


DYWANY Firanki, Materye meblowe
KOBIERCE Portyery własnej fabryki.
perskie i tureckie z oso-
bistych zakupów na ryn-
kach dalekiego Wschodu
Z. KILTYNOWICZ
(wprost Erywańskiej) **ul. Mazowiecka № 16.**

Sarg'a

KALODONT

niezbędny **Krem i Elixir do Zębów**



Komitet Kasy Przemysłowców w Pułtusku. (Siedzą): Boł Bukowski, J. Henrykowski (kontroler), St. Śniegocki (prezes), Leop. Gałczyński, Romuald Gogolewski (zars. rachunk.), J. Boniśkowski (kasjer), M. Lewandowski. (Stoją): Z. Zmijewski, Z. Pietrusiński, Marcełi Uszacki, Br. Wętkowski. Fot. B. Schmidt w Pułtusku.

Kasa przemysłowców w Pułtusku.

Zawizek i początek Kasy był wię-
cej, niż skromny. Przed 25 laty z dwóch
przedstawień amatorskich zebrano 300
rb., które stały się funduszem zakłado-
wym. Dziś obrót roczny Kasy Przemys-
łowców zbliża się do miliona rb. Kasa
stała się prawdziwym dobrodziejstwem,
nie tylko dla obywateli miejskich, ale i ca-
łej okolicy, przyczyniwszy się w znacznej
części do uwolnienia od wyzysku lich-
wiarzy. Pobierając 6% i rozszerzając
coraz bardziej swą działalność, zapewni-
ła sobie Kasa trwałą i solidną egzy-
stencję, mogąc nawet, w razach wyjąt-
kowych, przychodzić z pomocą na cele
publiczne. Stało się to, dzięki pracy i za-
biegliwości Zarządów, którym przewo-
dniczyli kolejno pp.: Górawski, Zalew-
ski, Szacherski, obecnie zaś p. L. Gał-
czyński. Rezultat tem godniejszy uzna-
nia, że ruch przemysłowo - handlo-

wy w mieście samem jest nieznaczny,
komunikacja bardzo zła, a nawet dawny
handel zbożowy upadł, od czasu wybu-
dowania kolei mławskiej.

Pułtusk.

F.

Z pasterza—multimilionerem.



Nieprawdopodobna historia o „bo-
gaty wujaszku” sprawdza się jednak

SAGRADA BARBER ROŚLINNY SRODEK
PRZECYSZCZAJĄCY
a PRZYTEM WZMACNIA-
JĄCY ŻOŁĄDEK.
PRAWDZIWY TYLKO z APTEKI SW. DUCHA w WIEDNIU.

niekiedy. W ostatnich dniach żyjącym,
rzeczywistym jej bohaterem stał się u-
bogi pasterz owiec z Sernhac nad jezio-
rem Garda. Prolog historii dosyć co-
dzienny: Bogaty anglik uwiódł młodą
wieśniaczkę i zabrał do ojczystego kraju.
Rodzina milionera odepchnęła ją i wysłała
z powrotem. W Marsylii przyszedł na świat
Marius Bonnaud, syn Pierrotte'y i Anglika;
wychował się w przytulku dobroczynnym,
potem został pasterzem. Matka powróciła
do Anglii i połączyła się z kochankiem,
zapominając o dziecku. Marius, liczący
obecnie lat 44, poszukiwał jednak swych
rodziców. Zamiast nich, odnalazł dziadka,
który pozostawił mu w spuściźnie 37
milionów franków. Mimo to milionowy
dziedzic nie zaniechał jeszcze ulubione-
go pasterstwa.

Echo zama- chu na króla Alfonsa XIII.

Anarchista San-
cho Allegre do-
konał w Madry-
cie zamachu na
króla hiszpań-
skiego Alfonsa
XIII-go. Król o-
calał przed strza-
łami rewolwero-
wami. Sprawcę
ujęto.



Do numeru bieżącego „Świata” dołączamy
prospekt wydawnictwa „Encyklopedia hu-
moru i satyry polskiej”, wydawanej nakła-
dem „Muchy” pod red. Ant. Orłowskiego.



Wnętrze salonów „Modes Aux élégantes” przy placu Saskim № 5.

Artyzm w kapeluszach damskich.

Wszecławadną dotychczas panią modę opanował obecnie przepiękny a nader mile przez wszystkich, w estetyce rozmiłowanych ludzi — artyzm.

Władcze piętno swoje kładzie on na każdym szczególe toalety damskiej, starając się stworzyć z niej całość, miłą dla oka.

Zniknęło już dotychczasowe prawie, niewolnicze nieomal trzymanie się przykazań władców mody, dyktujących rozkazy swe z Paryża czy z Wiednia...

Powstał bunt między paniami, i na ich rozkazy, odrzekły nieomal że jednogłośnie:

— I my chcemy mieć swój głos w sprawach strojów naszych; i my chcemy same decydować, w czym nam jest do twarzy, a w czym nie...

I wynikiem tego buntu przedstawicielki płci pięknej jest obecna moda.

Prawda, że nie jest ona zbyt korzystną dla modniarek, przywykłych do szablonu nadsyłanych z zagranicy modeli, zwłaszcza o ile która z nich nie rozporządza zbytym indywidualizmem.

A indywidualizm ten jest najwięcej potrzebnym przy tworzeniu kapeluszy damskich, tych małych arcydzieł naszych modniarek.

Obecne kreacje kapeluszy damskich wymagają nietylko znacznej indywidualności, ale i artyzmu.

Te, napozór drobne cacka, ze słomki, piór, kwiatów i wstążek złożone, wieńczące piękne główki naszych pań, nie mogą trzymać się raz utartego szablonu. Każdy z nich mu-

si być inny, każdy z nich musi podnosić, niejako podkreślać urodę właścicielki swojej...

A tego szablon nie dokona...

Do tego potrzebnym jest artyzm... i to artyzm wrodzony, w wysokim stopniu rozwinięty przez odpowiednie studia i prace.



Widok zewnętrzny magazynu.

Toż niewłaściwe zawiązanie kokardy, nieodpowiednie przypięcie pióra lub kwiatów, może w zupełności zmienić charakter danego kapelusza.

Myśli te nasunęły mi się przy zwiedzaniu nowootworzonych salonów firmy „Modes aux élégantes”, przy placu Saskim Nr. 5.

Nie jest to nowa firma. Zna ją dobrze cała Warszawa, a przynajmniej ta jej piękna połowa, która lubi być ubraną jaknajpiękniej i najodpowiedniej. Tylko że dotychczas salony te mieściły się w mieszkaniu prywatnem, na drugim piętrze domu przy ul. Królewskiej Nr. 6.

Dla wygody coraz rosnących zastępów klientek, właścicielka firmy

przeniosła je na parter, do sklepu frontowego.

Już z ulicy zwracają uwagę przechodniów nadzwyczaj artystycznie urządzone wystawy. Smak z estetyką poszły w parze i stworzyły przepiękną całość.

W parze z tem idzie i wnętrze salonów. To samo już najlepiej przemawia na dobro stwarzanych przez firmę kreacyi.

Olbrzymi wybór oryginalnych modeli paryskich, jeszcze większa ilość kopii, a niezależnie od tego, wszystkie przybrania, tak, że w przeciągu krótkiego czasu stworzony być może nowy kapelusz-arcydzieło, najlepiej dobrany do typu urody danej klientki.

Jeszcze jeden dział wprowadziła właścicielka salonów „Modes aux élégantes”.

Są nim kapelusiki dziecinne, wykonane nader subtelnie i artystycznie, tworzące przepiękne tło dla buziaków naszych milusińskich.

Dział ten zapełnia wielki brak w dziale ubiorów dziecinnych, ważny zwłaszcza dla tych rodziców, którzy, dbając o estetyczny wygląd swych pociech, pragną uniknąć nużącego, a często niesmacznego szablonu. *kr.*



Mestre i Blatgé, Paryż.

Wszelkie akcesorya do automobilizmu.

Tylko 10 lat egzystencji firmy Mestre i Blatgé w Paryżu.

Śród ludzi, żadnych uśmiechu fortuny, rozpowszechniło się przekonanie, że dla zdobycia losu należy szukać szczęścia, jeżeli już nie w kopalniach złota w Kalifornii lub na Syberyi, to przynajmniej pożegnać z pogardą Świat Stary i skierować się ku nowemu, gdzie zdobywali mienie nie tylko magnaci-amerykanie, ale nawet nasi „Wujaszkwie z Ameryki”.

Podobny sposób myślenia charakteryzuje zwykle ludzi, obdarzonych pewnym mistycyzmem, na zasadzie którego doznają oni wrażenia, że najlepiej jest tam, gdzie ich nie ma. Ludzie ci, obdarzeni zwykle dość bujną wyobraźnią, nie posiadają poza tem innych właściwości, potrzebnych do zwabienia Fortuny. Śród bajecznych opowiadań o tem, w jaki sposób ten lub ów znany milioner z grosza robił sto, daje się niejednokrotnie słyszeć ze strony któregoś z bardziej zawistnych słuchaczy westchnienie, z wykrzyknikiem: „Czasy były inne!” „Czasy” jednakże zawsze są jednakie dla ludzi danej chwili, jeżeli zaś „czasy” te wydają się nam innymi, to dlatego, że, należąc już do przeszłości, wyobrażają dla nas tę krainę, gdzie nas nie ma obecnie i gdzie przy pomocy wyobraźni tak łatwo jest wytworzyć sobie warunki według własnego widzimisię. Geniusz tem właśnie różni się od innych śmiertelników, że nie tylko widzi dokładnie te warunki, jakie w danej chwili wyzyskać można, ale posiada on, oprócz tego, inne cechy, potrzebne do zrealizowania zamierzonego projektu.

W r. 1902, podczas gdy sport jazdy na kołowcach dochodził we Francji do maksimum rozwoju, przemysł zaś samochodowy rozpoczął dopiero rozwijać się nadobrze, młody buchalter, p. Emil Mestre, zrozumiał potrzebę zjednoczenia w jednych rękach handlu wszystkich części zamiennych i akcesoryi, aby dać przez to możność zadosyćuczynienia wszelkim wymaga-

niom kupujących i uprzystępnienie ceny. Zbyt tego rodzaju artykułów w dziedzinie przemysłu samochodowego zwiększał się każdego dnia, a w cyklistyce stanowił już poważną gałąź przemysłu, eksploatowaną, zresztą, w sposób mniej lub więcej dorywczy przez najrozmaitszych kupców; toteż p. Mestre porozumiał się niebawem z przyjacielem swoim, p. Blatgé, i dwaj ci przedsiębiorcy ludźmi otworzyli handel w małym lokalu, przy ulicy Brunel w Paryżu, z kapitałem zakład. 40,000 fr.

Myśl podobnego przedsiębiorstwa była już sama przez się szczęśliwą, przy niezwykłej zaś pracowitości i zapobiegliwości obydwóch spółników, już po 5 latach egzystencji, czyli w r. 1907, mały z początku interes przekształcił się niebawem na Tow. Akc., z kapitałem 2,000,000 fr.; w ciągu dwu lat następnych kapitał ten został jeszcze powiększony o 500,000 fr.; w roku zaś 1912 wynosił on już bardzo poważną sumę: 4,000,000 franków.

Zapewne nasuwa się tu pytanie, o ile obrót roczny odpowiadał takiemu wzrostowi kapitału. Liczby następujące dadzą najlepszą odpowiedź na to pytanie:

W r. 1903 obrót wynosił fr. 500,000, w r. 1906 fr. 2,638,000, w r. 1907 fr. 4,221,000, w r. 1910 fr. 9,438,000, w r. 1912 fr. 13,200,000.

Wszystkie inne warunki, towarzyszące rozwojowi tego niezwykle-

go przedsiębiorstwa, znajdują się w podobnym stosunku. Przypatrzmy się np., jak wzrasta personel:

W r. 1903 firma Mestre i Blatgé liczy zaledwie 10 osób, w r. 1905 liczba pracujących wzrasta do 70; w r. 1910 personel firmy składa się już z 252 osób, w tej liczbie około 50 kobiet, podczas gdy w chwili bież. 75 kobiet pracuje obok przeszło 300 męż., wszyscy wybrani z pomiędzy najbardziej pracowitych i zdolnych.

Ciekawe jest porównanie, jakie zrobić można np. pomiędzy wieżą Ejfla w Paryżu i katalogami firmy Mestre i Blatgé, które stanowią specjalne wydawnictwo techniczne. Katalogi jednego wydawnictwa, ułożone jedno na drugie, stanowiłyby kolumnę, wysokości 800 metrów, czyli stos nieomal ze 3 razy wyższy od wieży Ejfla. Ułożone na płask, jeden za drugim, stanowiłyby długość 7 kilometrów.

Dla wydrukowania takiej ilości katalogów potrzeba 75,000 klg. papieru, podzielonego na 22,000,000 stron.

Pomimo, że firma Mestre i Blatgé posiada już reprezentantów we wszystkich krajach, wypadło jej dla tem lepszego zaspokojenia coraz bardziej wzrastającej klienteli otworzyć filie w następujących miastach: w Lille, w Bordeaux, w Algierze, w Londynie, w Berlinie, w Madrycie, w Brukseli, w Buenos - Ayres, w Rio de Janeiro, w Budapeszcie, a w ostatnich czasach w Moskwie i w Warszawie. ul. Nowosienna, róg Jasnej Nr. 8, tel 224,48. Dyrektorem oddziału warszawskiego jest p. René Schaab, od lat kilkunastu pracujący w Warszawie i powszechnie uznany za wybitnego znawcę automobilizmu.

Wskutek niedostatecznego pomieszczenia przy ulicy Brunel, pod nr. 5, 7 i 18, firma Mestre i Blatgé zmuszona była wybudować ogromny gmach własny w środkowej części tej znakomitej arterii paryskiej „Avenue de la Grande Armée”, stanowiącej jedną z pamiątek po Wielkiej Armii Napoleońskiej, a która od czasu rozwoju przemysłu samochodowego stała się punktem, na którym zebrali się wszyscy prawie konstruktorzy większych francuskich firm samochodowych. Gmach, w którym obecnie mieści się firma Mestre i Blatgé, zajmuje powierzchnię 8,000 kw. metrów. W r. 1902 ta sama firma zajmowała lokal zaledwie na 210 kw. metrach.

Oto więc, co zdziałać można w ciągu tylko lat 10-u nawet w przeżytych już i ze wszech miar wyzyskanym Paryżu, a więc bez potrzeby emigrowania za ocean; żeby osiągnąć podobne rezultaty, prawda, że są potrzebne pewne warunki zewnętrzne, ale, oprócz tego, nie wystarcza nawet być przedsiębiorczym, bo trzeba jeszcze być tak pracowitym, jak są panowie Mestre i Blatgé.

K.



Główny gmach firmy Mestré i Blatgé w Paryżu.



Widok zewnętrzny zakładu fryzjerskiego J. Bagnowskiego.



Poczekalnia.

„Salon de Beauté” i zakład fryzjerski J. Bagnowskiego,

Wilcza № 35, róg Marszałkowskiej.
Telefony: № 29-39 i 159-02.

„Musi rozwijać się i postępować wszystko to, w co człowiek kładzie pracę i dobrą inicjatywę”.

Jednym z dowodów, stwierdzających tę maksymę, jest zakład fryzjerski p. Józefa Bagnowskiego, który, z niewielkiego przed laty 20-stu sklepu, rozrasta się stale, z roku na rok, w duże przedsiębiorstwo, aż nareszcie w chwili obecnej, w domu W-go Fruzińskiego, przy Wilczej 35, róg Marszałkowskiej, zajmując dwa piętra, przemienia się w „Salon de beauté”, w najlepszym znaczeniu tego słowa.

Salon, jakiego dotąd nie było w Warszawie.

Parter — to sklep, ze wszystkimi pomocniczymi w dziedzinie fryzjerstwa i kosmetyki przyborami.

Ogromny, widny, oszklony ze wszystkich stron, jak latarka, pełen zwierciadeł, kryształów, z ujmującą i elegancką obsługą klientów — sklep ma obok obszernej salę, przeznaczoną do strzyżenia i golenia dla panów.

Jest on jednak tylko słabą zapowiedzią tego, czem ucieszy się oko zwiedzających zakład p. Bagnowskiego, jeśli po schodach, wysłanych dywanem, a bezpośrednio ze sklepu wiodących, zajdzie na pierwsze piętro.

Dobry smak, wygoda i doskonałe przystosowanie wymagań higieny do zabiegów około starannej powierzchowności składają się na ten śliczny apartament, który p. J. Bagnowski oddaje w chwili obecnej, świeżo wykończony, do użytku swej licznej klienteli.

Duży wspólny salon do czesania, poczekalnia, gabinety (na życzenie, dla pań oddzielne), parowe kąpiele, masażystki, przyrządy do mycia głowy, eleganckie aksamitne podpórki dla rącek, które poddają się tsaraniom manicure'y, wygodne fotele dla stosowania pedicure — epilacja i analiza włosów, usuwanie piegów, wargów, brodawek, czerwoności nosa — oto bogaty program działania, którego terenem będzie odąd „Salon de beauté” p. J. Bagnowskiego.

Dodać należy, że wszystko to odbywa się na pełnym smaku tle w urządzeniu, w którym kolor jasny ścian i eleganckich przepierzeń łączy się dyskretnie z bladoróżowym tonem portyer i lambrekinów, na które pada złamane



J. Bagnowski.

światło przez koronkowe brise-bises'y, zasłaniające zazdrośnie do połowy kryształowe szyby. Obfite kwitnących kwiatów szereg, wplecione w żardiniery, łączące się z rysunkiem całości, dopełniają urok tego salonu, przynoszącego chlubne świadectwo i temu, kto go zamawiał, i wykonawcy.

Myliłby się jednak, kto by sądził, że wystarczy zrobić wywiad z gospodarzem zakładu, aby objaśnić całokształt podjętej pracy.

P. J. Bagnowski, jak już zaznaczyliśmy, dąży z postępem, który, jak we wszystkim, tak i w jego specjalności, idzie szybko naprzód, a nowymi wynalazkami dzielnie wspiera podjęte zabiegi.

Otóż, za największą zasługę uważać należy nietylko to, że p. Bagnowski ma doskonałych, znających swoją sztukę fryzjerów, nietylko, że do pomocy w pracy powołał osoby, zawodowo znające masaż i tajniki kosmetyki — ale nade wszystko to, że wprowadził nawet *lekarza-specjalistę*, ordynującego codzień w „Salonie” w osobnym gabinecie od godz. 4 do 6-ej po połud.

— Wszelkie zewnętrzne choroby skóry, przyczyny wypadania włosów są albo natury ogólnej, albo miejscowej. W pierwszym wypadku przyczyną może być niedokrewność, zła przemiana materii, nadmierna praca umysłowa i t. p. W drugim choroba skóry i włosów, nieumiejętne obchodzenie się z włosami, brak czy-

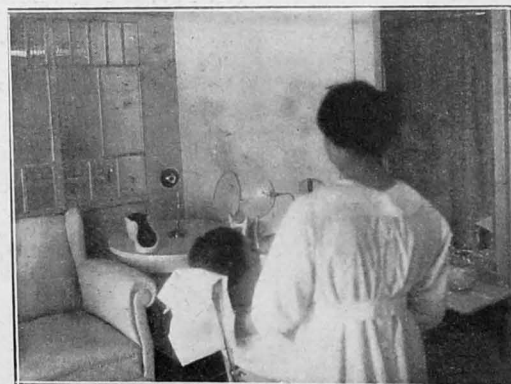
stości. Postępowanie, mające na celu zapobieganie np. wypadaniu włosów zależy od tego, co je wywołało. Sprawę tę można rozstrzygnąć tylko po dokładnym zbadaniu ustroju i skóry głowy — objaśnia nas łaskawie lekarz w „Salonie”. A po tem wyjaśnieniu, już śmiało możesz bodaj zgolić głowę, jeśli to polecane, bo wiesz, że sąd oparty nie na powierzchownem tylko przypuszczeniu, lecz na sumiennej dygnozie i analizie organizmu.

Małe laboratorium podręczne jest pomocą dla lekarza, a zapewnieniem solidności sądu dla klientów.

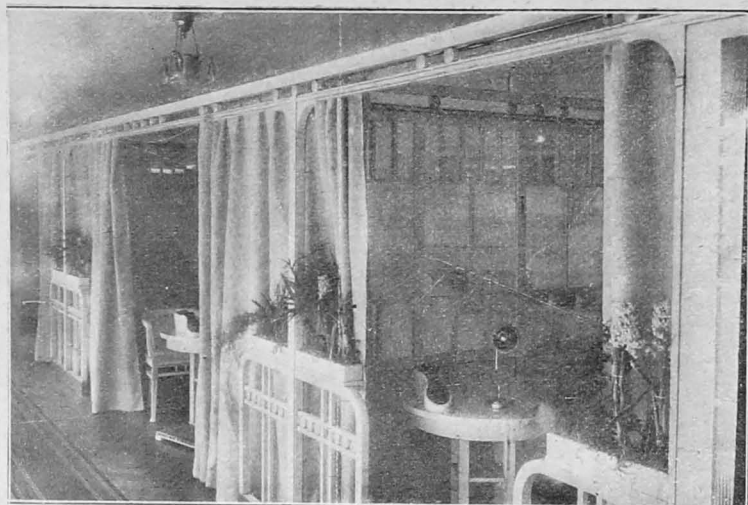
Dwie młode, nawiasem mówiąc, ładne, a przede wszystkim *bardzo uprzejme* specjalistki do stosowania wszelkich środków, mających na celu utrzymanie czystości i podniesienie zewnętrznej urody, z których jedna naukę w tym zakresie czerpała w Paryżu — ubolewają razem z nami — przede wszystkim nad małym zamięłowaniem *porządku* u nas.

— We Francji niema kobiet starych, zawiędłych, pomarszczonych, źle uczesanych, słowem, zaniedbanych. Wszelkie mają dobrze utrzymaną cerę i włosy. Kąpiel i czystość całego organizmu jest taką samą niezbędną sprawą — jak potrzeba oddychania.

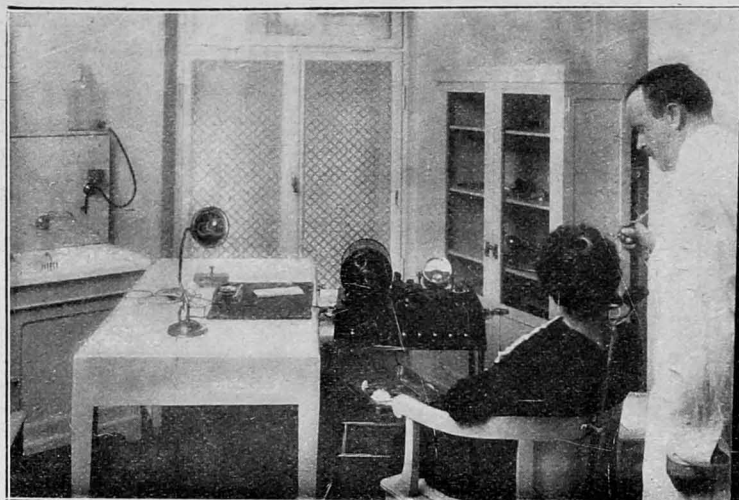
Staraniem naszym tu, w *Salonie* bę-



Gabinet kosmetyczny.



Salon de beauté.



Gabinet doktora.

dzie tak obsłużyć nasze klientki, aby, raz doświadczywszy błogosławionych skutków racjonalnego pielęgnowania ciała, stało się to ich przyzwyczajeniem i niezbędną potrzebą.

A słuchając tego, wierzyliśmy, że tak się stanie, bo uprzejme i zamiłowane w swym fachu specjalistki—w zakładzie p. Bagnowskiego—od razu budzą zaufanie i wierzy się, że, o ile tego zajdzie potrzeba, z pod starannych ich rącek każda kobieta wyjdzie młodszą, a już na pewno ładniejszą.

Dwa telefony: do *Fryzyerni* 29-39 i

do *Gabinetu Kosmetycznego* 151-02 zapewniają łatwe porozumienie się, o ile chodzi o zamówienie uczesania w domu lub wyznaczenie godziny w „*Salonie*”. Nasi mistrze tego fachu mają ustaloną opinię zręczności i smaku. Tak, że w Berlinie, a wiemy to z dobrego źródła, poszukiwani są fryzjerzy-polacy do czesania najwykwintniejszych dam. U nas stwierdza tę opinię zakład p. Bagnowskiego, w którym trzymają się stale zasad w czesaniu, aby nie naśladować niewolniczo mody, a dla każdej głowy two-

żyć modę nową lub odpowiednio przystosowywać tę, która istnieje.

Z powodu uznania tych wszystkich zalet ruch w „*Salon de beauté*” panuje ogromny. Wśród potoków elektrycznego światła, w którym skąpane są wykwintne gabinety, kryształowe zwierciadła odbijają główki kształtne, których kunszt uczesania podziwiamy w teatrach i salach koncertowych.

W tych warunkach „*Salon de Beauté*” ma ustalone powodzenie, na które zasłużył w pełni.

Nowa hurtownia chrześcijańska.



W dniu 19-ym kwietnia poświęcono nową hurtownię towarów galanteryjnych pod firmą F. Jędrzejewski i S-ka, przy ulicy Długiej.

Treść No 18 „Świata”.

Miliard margrabiego Gerona. *A. Chołomiewski*. Wystawa jednobarwna. (Z 7 il.) *A. B.* Kukiełka czy Persona? *Czesław Jankowski*. Kawałek „całego Paryża”. (Z 12 il.) *Emigrant*. Pożegnanie księcia Józefa z krajem. (Z 5 il.) *Clarus*. Współzawodnicy powietrzni. (Z 3 il.) *St. Sier.* Z literatury. (Z 1 il.) *W. Pr., i.* Bankructwo reformy wyborczej. (Z 8 il.) *Wass.* Kraków powiększony. (Z 2 il.) *Clar.* Biblioteka uniwersyteckiej. (Z 3 il.) 20-lecie zrzeszenia dziennikarzy. (Z 1 il.) *Jast.* Lwów dążący ku pięknu. (Z 1 il.) *S.* Morderstwo w Teresinie. (Z 8 il.) *D.* Z teatru hiszpańskiego. (Z 1 il.) *m.* Maryla Walrom-Borkowicz. (Z 1 il.) Jubileusz J. Kotarbińskiego. Najważniejsze wypadki minionego tygodnia. Z życia prowincji. (Z 1 il.) *F.* Z pasterza—multimilionerem. (Z 1 il.) Artyzm w kapeluszach damskich. (Z 3 il.) *kr.* Mestre i Blatgé, Paryż. (Z 1 il.) *K.* Zakład fryzjerski. (Z 6 il.)

ODDZIELNE ILUSTRACJE:

Pożar miasteczka w Galicji. Prawa polityczne kobiet w Galicji. Na widowni — z tygodnia. (5 il.) Wystawa „Młodej” sztuki w karykaturze. Echo zamachu na króla Alfonsa. Nowa hurtownia chrześcijańska.

Z Kalotechniki.

Marszałkowska 116, tel. 16-73.

Nr. 7. *Wdzięcznemu*. Za zaufanie dziękujemy. Przeciw czerwoności rąk i nosa najradkalniejszym środkiem jest Eros. Dla udelikatnienia cery stosować krem Radium, zaś dla nadania pięknego matu płyn Vesta. Co zaś do anemii, to niech Sz. Pan zwróci się do swego lekarza, gdyż zaocznie nie poradzić nie można. Cennik na żądanie wyślemy podług adresu.

Nr. 10. *Jaskółce*. Połysk z twa-

rzy usunie płyn Vesta. Krem d-ra Orgley'a od piegów kosztuje rb. 1.60. Na resztę pytań odpowiemy listownie po otrzymaniu dokładnego adresu, oraz cennik wyślemy.

Nr. 18. Krem angielski d-ra Orgley'a usuwa piegi i opaleniznę bezpowrotnie. Przeciw wrogom zalecamy płyn Vesta oraz Perłki alkaliczne. Włosy najhygieniczniej konserwuje mycie mydłem płynnym Antrasolowem. We Lwowie środki te są do nabycia u Pawłowskiego, Akademicka, 21.

Nr. 29. Brodawkę na szyi zdejmie lekarz w Kalotechnice. Prosimy

o przysłanie wyczeszków włosów dla zrobienia analizy lekarskiej i zalecenia odpowiedniej kuracji, gdyż tak dużo jest odmian chorób włosów, że identycznych środków dla wszystkich stosować nie można. Analiza kosztuje rb. 3. Przyjęcia lekarskie w Kalotechnice codzień od 4—6. W Radomiu środki nasze są do nabycia w składzie Cieszkowskiego.

Listy z zamówieniami oraz pytaniami prosimy adresować wprost do Kalotechniki, Marszałkowska 116, telef. 16-73, a wszelkich odpowiedzi udzielamy bezinteresownie.

Zarząd Kalotechniki.

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok V.

Warszawa, dnia 3 maja 1913 roku.

Nr 18

Józef Weyssenhoff.

Prawa przedruku i przekładu zastrzeżone
przez autora i wydawców.

GROMADA.

Powieść ziemiańska.

32

XVII.

Od czasu uchwały o budowie domu ludowego zajątrzyły się w Mielnie pomruki przeciw Rykonio-
wi, który, choć nie wójt, ani sołtys, narzucał gminie swoje plany. Pomruki urosły jeszcze, gdy przy składce gminnej zwyczajnej zaczęto ściągać dodatkową na budowę domu. Niechętni od początku Goździk, Kołaczyński, Orlik, Maryniak sarkali na ten podatek, powtarzając, że takie wymysły niech sobie panowie z własnej kieszeni opłacają, kiedy im pozwoliliśmy, nie żeby miała iść na to ciężka krwawica gminna. Gdy przed zimą założono fundamenty, zaczęto drzewo zwozić na wiązania i obrabiać podług wymiaru, inne wieści obleciały Mielno. Rykoń, który mocą uchwały gminnej został wykonawcą i kasyerem budowy, otrzymywał od panów większe sumy, niż te, które wydawał na roboty mularskie i ciesielskie. Wyrachować to się on potrafi, bo fizyk jest, ale co do kieszeni schowa, to jego, a na gminiaka zawsze grosz więcej przy składce wypadnie.

Nikt tego w oczy nie śmiał powiedzieć Rykonio-
wi, bo się bał jego ciężkiej ręki, którąby pewnikiem takie słowa napowrót w gębę wepchnęła mówiacemu, a możeby mu i zęby połamała. Ale Jan czuł około siebie zacieśniające się kręgi nieprzyjaźni i obmowy, wietrzył — od kogo pochodzą, i że wzmagają się po każdym przyjeździe do wsi profesora Owocnego. Nie był Jan obojętny na ludzkie gadanie, o-

wszem — kochał ludzi i, dbając o ich pożytek, spodziewał się od nich wdzięczności i dobrej sławy; ale gdy napotykał ich opór lub nieufność, nie opuszczał rąk, robił swoje dla nich przemocnie, według swego rozumienia.

Nie siedł też sam przeciw całej gromadzie; miał przyjaciół zupełnie oddanych, jak poczcivi Selwestrowicz i rozsądny Pełka; miał i zwolenników z zastrzeżeniami: wójta Skierskiego, który bał się zbyt władz, Workowskiego, który trochę zazdrościł Rykonio-
wi przewagi i znaczenia; miał wreszcie nawet większość stronników jeszcze niedawno w gminie, skoro uchwałę o budowie domu przeprowadził. Ale teraz, pod wiosnę czuł jakby wsteczny odpływ zaufania gospodarzy, a przyrost buntowniczego usposobienia u parobków i wyrostków. Wiedział, że to robota profesora, który i po zakładach szkolnych w Niespusze obiecywał niestworzone rzeczy i jawnie działał przeciw budowie domu gminnego w Mielnie. Z profesorem nie widywał się; obaj nie pragnęli spotkania; ale gdy mu powtarzano rozsiewane przez Owocnego wiadomości i rady, Rykoń nie powściągał oburzenia:

— Wilka puszczacie do owczarni, albo paskudnego psa do izby! Ani on wie, co tam jeszcze będzie w Niespusze, a gada, aby was tylko od porządnej roboty we wsi odciągnąć.

Wielu słuchało Rykonia przy-

chylnie, ale wielu też dawało ucho obietnicom profesora. Żeby on jednak przypadkiem prawdę mówił, byłoby dobrze: wszystko w Niespusze darmo mieć, nie zaś tutaj wielkim kosztem dom gminny stawiać i składkę wyższą płacić, która teraz, na przykład, na przednówku, wypada — niby głodnemu ujęcie chleba z przed gęby. Żeby przynajmniej z tą jedną ratą wiosenną poczekali — —

Z namysłów i pogwarów w parę dni urosła niby cicha uchwała: nie płacić teraz dodatku do składki na budowę — niech go do raty jesiennej odłożą! Dawni przeciwnicy domu ludowego oświadczyli głośno, że płacić nie będą, a nawet i zwolennicy ociągali się, rozumiejąc, że gdy inni nie wnoszą należności, może cała budowa stanąć, a tymczasem ich pieniądze przepadną. Tylko Jan Rykoń, Workowski i Selwestrowicz wnieśli z Mielna całkowitą ratę wiosenną, przed terminem, manifestacyjnie.

Tymczasem pieniądze były natychmiast potrzebne na wypłaty majstrom mularskim i ciesielskim, i wpłynąć miały z raty gminnej według preliminarza budżetowego. Rykoń, kierujący robotami, rozgniewał się mocno na gromadę, ale gniew nie wywoływał w nim rozpacz, ani słabości, owszem, zawziętość do wykonania dzieła pomimo wszelkich przeszkód. Poczł jednak, że sam tu nie poradzi — i po krótkim namyśle wyruszył do pana Bronieckiego, do Sławoszewa.

Ten początek wiosny był wszędzie zamącony przez troski. I dwór sławoszewski wydał się Rykonio-
wi ciszej zadumanym, niż zwykle, a dziedzic pochmurnym,

choć przyjął sąsiada mielniaka u-
przejmie.

— Przyjechałem — rozpoczął
bez przebiegów Jan — do pana
dziedzica, jako do dobrego radcy.
Siła jest zawichrzenia w Mielnie,
a wszystko dlatego, że w niewia-
domości zostajemy, co tam w Nie-
spusze dla nas szykują. Tobym
ja wiedzieć rad, panie dziedzicu,
bo nie wiedzący człowiek może
przeciwić się robocie dobrej, albo
i przystać do ledajakiej. Z panem
Czemskim nie zdarzyło mi się ga-
dać jesienią, przed jego areszto-
waniem. A ci, którzy tam teraz
za niego robią i obiecują, to — z
przeproszeniem uszu pańskich —
honorowoty są.

— Któż tam co robi i obiecu-
je? — żywo zagadnął Broniecki.

— Ten profesor Owocny —
czy jak mu tam? — mało że nie
mieszka w Niespusze, tak często
dojeżdża, a ile razy przyjedzie, za-
raz się nowe bajdy po wsi lęgną,
że to w Niespusze wszystko darmo
będzie dla gminiaków: i szkoła, i
dom ludowy, i nawet zboże rozda-
wać będą. A niby dlatego nasz
dom gminny w Mielnie ma być
niepotrzebny.

— Rany Boskie! co też opo-
wiadacie?! — zawołał Broniecki
wzburzony.

— Miarkowałem i ja — od-
rzekł Rykoń — że ten profesor nie
mówi akuratnie, albo i poprostu
łże. Jednak on się tam przecie z
panem Czemskim kuma, to coś
w tem prawdy musi być? — — Je-
żeli by pan dziedzic wiedział, co
pan Czemski zamyśla w Niespusze
urządzić, dopraszałbym się łaski,
żeby i mnie powiedzieć, bo tak
człęk jest w ciemności i nie wie,
co gromadzie doradzić.

— Wam powiem, Janie, boś-
cie chłop w Mielnie jedyny, który
rzecz zrozumie i przed czasem jej
nie rozgłosi. Byłem na tej radzie,
gdzie panu Czemskiemu propono-
wano nabycie Niespuchy na szko-
łę rolniczą dla włościan.

— Patrzajta ludzie, jakem ja
to zgadł, że pan dziedzic wie o
wszystkiem — uradował się Rykoń.

— Nie ciescie się zanadto,
bo sprawa nie postanowiona i
przerwana została przez uwięzie-
nie pana Czemskiego. Niespuchę
nabyć chce pan Godziemba, jako
przedstawiciel towarzystwa rol-
niczego i założyć tam szkołę rol-
niczą.

— No, to chwała Bogu! — roz-
promienił się Rykoń — i szkoła
będzie dobra i pan Godziemba nie
popsuje nam domu gminnego w

Mielnie, kiedy go sam z nami za-
kłada!

— Jakbyście wiedzieli, sąsie-
dzie. W tem tylko sęk, że projekt
niegotowy; pan Czemski chciał ze
swoimi przyjaciółmi naradzić się,
kiedy go capnęła policja w War-
szawie, bo jej się nie podobał. Ale
nie słyszałem wcale, aby wymie-
niał tego warchoła, Owocnego, ja-
ko swego pełnomocnika. Mnieby
to powiedział — w ostatnich cza-
sach dużo z nim gadałem. To po-
rządny chłopiec i syn zacnego
człowieka... i pragnie z wami pra-
cować, tylko jeszcze nie wie, jak
się wziąć do tego. Znaie go, Ja-
nie?

Rykonowi przeblysło wspo-
mnienie, jak panna Broniecka go-
rąco odzywała się przed nim o
Czemskim; teraz ojciec go chwali
i tłumaczy... Jan zrozumiał, że
trzeba się dobrze odezwać o Czem-
skim, widocznie przyjacielu Sła-
woszewa.

— Znam, panie dziedzicu. Bo-
dajby wszyscy młodzi tyle mieli
chęci! Żeby tylko pan Czemski
nie zadawał się z profesorem albo
takimi tam, jeno z panem dziedzic-
em, z panem Godziembą. Bo
jak to mówią: czym skorupka za
młodu nasiąknie...

— O to, to właśnie — urado-
wał się Broniecki — lubię z wami
gadać, bo jest z kim... Poczeka-
cie — ja się wam dowiem, co pan
Czemski zamyśla o tej szkole w
Niespusze. Choć to z więźniem
niełatwo się porozumieć, już ja po-
trafię — — Spodziewam się, że
pan Owocny przyczeka w nos do-
stanie.

— Dziękuję za jedno, panie
dziedzicu, ale druga bieda gorsza,
przy samej skórce — rzekł fraso-
bliwie Rykoń, jakby się wstydział
za swych sąsiadów gminnych.

— No? co tam?

— To, że podatku wiosenne-
go na budowę nie chcą mi z gmi-
ny płacić — —

— O psia! to gorzej — —

Zaległo krótkie milczenie, któ-
re przerwał Broniecki:

— To już wasza rzecz, Janie.
Albo trzymacie gminę za łeb, albo
jej nie trzymacie — — Ja tu nie
poradzę.

Znowu zamyślił się i po chwi-
li rzekł mniej stanowczo:

— Chyba pan Godziemba? —

— Postanowione było tak, że
od pana Godziemby dopiero na
świętego Jana nowe pieniądze na-
dejdą, a na teraz miały być z
gminnej składki wiosennej — ob-
jaśnił Rykoń.

— W takim razie już nie

wiem... ja także na przednówku
pieniędzy nie mam... Ale przecie
ten podatek jest uchwalony —
niech go wójt egzekwuje.

— To się wie, że będzie egze-
kucya; ale póki ona będzie, robo-
ty mi staną. A tu już mularze
przyšli aż z Lubartowa, najtęż-
sze, belki i krokwie wszystkie na
miejscu — tylko się prosi ta cha-
łupa, żeby ją do nieba dźwignąć
— — i ciepło — ochota w człeku
zbiera.

— Rozumiem, rozumiem —
rzekł Broniecki, ujęty przez zapal
chłopa do dzieła — no... jakżeby
tu? — — chcecie, żebym napisał
do Modrzewca, aby pan Godziem-
ba przyspieszył wypłatę raty świę-
tojańskiej?

— Można, kiedy łaska — od-
rzekł Jan bez przekonania.

— Jakże? nie chcecie?

— Bo to, proszę pana dziedzic-
a, trochę wstyd wyznawać się
panu Godziembie, że już w samym
początku robota staje u mielnia-
ków. U niego to wszystko silnie
idzie i sporo, a jak pomiarkuje, że
my słabe i głupie, to nas może o-
puścić.

Zastanowił się Broniecki nad
ojcowską iście pieczołowitością
Rykonia o dobro Mielna i rzekł,
patrzac mu przyjaźnie w oczy:

— Ciasno wam, Janie, mię-
dzy tymi wszystkimi szkodnikami
i podmówioną gromadą — co?

— Póki ta jeszcze ręce cho-
dzą, wytrzymam — uśmiechnął
się dzielnie Jan, robiąc wyraziście
ramionami.

— Trzasnęlibyście w pysk na
prawo i na lewo?

— Kiedy potra — ale nie lu-
bię...

— No, widzę, sąsiedzie, że
chcecie odemnie pożyczyć piene-
dzy do świętego Jana? — — Mo-
gę wam dać dwa papierki.

— To jużby trzy, panie dzie-
dzicu, a robotaby się ruszyła!

— Niech was! ostatnie stowy
zabieracie mi z domu — — Wy-
piszcie mi rewers płatny 5 lipca,
z kasy budowlanej. Procentu nie
chcę.

Pokłonił się wdzięcznie Ry-
koń za gromadę swoją, a po ubi-
ciu interesu poczuł się do obowią-
zku grzeczności sąsiedzkiej:

— Jakże też zdrowie panien-
ki, naszej ślicznej Maryi?

— Dziękuję wam, dobrze —
odrzekł pan Józef bez fantazyi —
odwiozłem ją przed kilku dniami
do Warszawy, do ciotki.

— O, proszę! to się im na wsi
zeczniło?

— Tak; dziewczyna już na odlocie...

I Broniecki zmienił przedmiot rozmowy:

— Na polu dobrze tymczasem — żeby tylko wycinków w kwietniu nie było.

— Mogą i być — jutro czterdziestu męczenników, a na noc zdaje się, że mróz chwyci.

— Jakoś ta wiosna tegoroczna trudno się gramoli — utkwili Broniecki badawcze spojrzenie w siwe oczy drugiego znawcy ziemi.

— Wiosna, jakie bywały — odrzekł Rykoń — a że ta mogą przyjść czasy jeszcze krzyńkę gorsze, także nam nie nowina; już tak zawsze na polskiej ziemi jest. Nie łatwo tutaj żyć, ale co trudno dobędziesz, to mocno posiędziesz. Takie nasze chłopskie przysłowie, panie dziedzicu.

— Dobrze przysłowie — odrzekł Broniecki, trochę skonfudowany przez gotową na wszystko odwagę chłopca.

DCN.

Alfred Konar.

(Wszelkie prawa przedruku i przekładu zastrzeżone).

Młodość panny Mani.

7

Powieść.

Teraz dopiero pojęła, że jedynie człowiekowi, pracującemu na kawałek chleba, otwierają się oczy na świat, na ludzi, na tę przerażającą w swoim ogromie komedię, czy też tragedię życia. Taki na przykład Faber, Rentz, stary Kunke, Dębski, redaktor Kacperski, co za typy!

— A ja dawniej sądziłam, że artyści i literaci o sławnych nazwiskach są z innej gliny. Prawda! wierzyłam jeszcze wtedy i we własną szlachetność uczuć, nie pojmując, jak ciężką jest walka z własnymi złymi instynktami i jak rzadkiem zwycięstwo. — Ludzi żli — „faberyzowała“, nie zdając sobie sprawy, do jakiego stopnia była nim przejęta — i dobrzy, artyści i filistrzy! Boże drogi! To zupełnie wszystko jedno, czy terenem tej zażartej walki życia jest pierwsze piętro redakcji, czy kantor stręczących służących, lub biuro ministerium; czy suteryna warsztatu, czy bójka o dobre miejsce przed kościołem, w którym najobfitsze jałmużny w żembraczą puszkę spadają. O! Bielmo jej z oczu spadło; wytrenowała swój charakter.

Jakżeż czuje się zmienioną, zahartowaną i nie dziwi się niczemu. Dawniej w swojej naiwności — nie tylko nie przepuszczała, aby ci wszyscy wielcy, których portrety zbierała skrzętnie na pocztówkach, a szczegóły z życia wyczytywała w encyklopediach — targowali się o każdą kopiejkę na wierszu, lecz sądziła, że wszystko, co piszą, jest jedynie natchnieniem lub wyższym celem; że nie schodzą nigdy ze swoich moralnych szczudeł i że nawet w moralnym negliżu są z innej gliny, niż fabrykanci musztardy lub makaronu. Teraz nie dotyka jej już tak, jak dawniej, rzucone jej z żartobliwym przekąsem przezwisko Siostry Malinowskiej, ściśle zapamiętywającej, bez odczucia i bez zrozumienia nastroju, wszystkie szkolne szczegóły, formuły i daty, na które oni „gwi-

dzą“, uzbrojeni w podręczne redakcyjne dykcyonarze.

W swoim rozczerwaniu dręczy się teraz refleksyami, czy ci jej dawni znajomi, pogardzani Malinowscy, nie są bliżsi jej dawnych kulturalnych ideałów, niż ta śmietanka wybrańców? Jeżeli zaś jeszcze i dziś na pogardzanych przez nią herbatkach u swoich ciotek i innych burżujów unosiła się gorąco nad elitą redakcyjną — to jedynie z przeświadczenia, że z poza muru chińskiego burzuje nigdy prawdy się nie dowiedzą.

Lecz teraz w redakcji miewa coraz częściej ochotę wychwalania Malinowskich.

— Panno Maniu, ile nasza koleżanka, pani Irena, może mieć lat? — zapytał ją Faber, dysputujący z Reutzem i Dębskim.

— Nie oglądałam jej metryki.

— Przecież to podobno krewniczka pani?

— Dziesiąta woda po kisielu. Musi być w moim wieku.

— Nituszka jest bardzo szlachetną.

— O, jeżeli ktoś zechce nazywać obłudy mieszczańskie Malinowskich cnotami!

— Czy podług waszej cnoty — wtracił się Reutz, gładząc swoją długą czarną brodę — pani Irena jest uczciwą kobietą, czy też nieuczciwą?

— Podług mojej cnoty, najuczciwiej jest nie obmawiać nieobecnych kolegów i koleżanek.

— Panno Maniu! Pani jest zabijającą szlachetną.

Panna Mania, rzeczywiście, zbliżyła się bardzo do tak zwanej w redakcji księżniczki, ochrzczonej tym epitetem wskutek niezaprzeczonej naturalnej wytworności, jaka panią Irenę znamionowała, a której księżniczka zawdzięczała nawet podbój samego redaktora Kacperskiego, hołdującego jedynie rasie. Panna Mania uczyniła to trochę, aby mózdz delek-

tować się przed sobą swoją dobrocią i wyrozumiałością; trochę naprzekór pani Ziucie i matce, twierdzących uparcie, że ostatecznie „taka kobieta“ nie jest odpowiednim towarzyszem dla przyzwoitej panienki.

Lecz panna Mania polubiła szczerze tę rasową, długokończynową postać księżniczki o kształtnej główce w krótkoobciętych puklach, w fantazyjnych miękkich kapeluszach. Lubiła jej gładkie, obcisłe, z ciemnego sukna angielskiego suknie i chód elastyczny o szerokich krokach; harmonijność ruchu i giętkość każdej pozy, z której księżniczka nie zdawała sobie sprawy, a którą zawdzięczała proporcjom i rysunkowi linii. Z nogą, założoną na nogę, z wiecznym papierosem w buzi o pięknych pieprzykach, ta „upadła kobieta“ nie była wcale shoking nawet w obejściu z mężczyznami; swobodna, bez odrobiny minoderyi, bez zaczerwienień, bez żadnych powłóczyстых spojrzeń, jedynie dobra koleżanka, rozprawiała z nimi wyłącznie o bridżu, o polowaniach, o konnej jeździe, o footballach, samochodach, bicyklach, bilardach i łyżwach. Nie wspominała nigdy ani o swoim malarstwie, ani o swoim tomie wydanych nowel i nienawidziła taniej filozofii, przelewania z pustego w próżne i salonowego intelektualizmu.

Kiedy zlekka badano ją o jej przeszłość, czy kochała kiedy prawdziwie, księżniczka odpowiadała szczerze:

— To już tak dawno! Nie pamiętam. Nie obchodzi mnie przeszłość ani dzień jutrzejszy, jedynie moment, który przeżywam; ja kocham życie, każdą jego chwilę, każdą porę roku, wiosnę, jesień, zimę. Lubię samą miłość tak, jak dobre wino i pieśń każdego z dobrym głosem śpiewaka bez nazwiska. Moim jedynym kłopotem są długi i brak pieniędzy, które rozchodzą mi się, jak przez dziurawe sito. Rujują mnie wieczne drogie dorożki, hojne napiwki, kolektorzy loteryjni i lichwiarze.

Jestem dobrym burszem — określała trafnie swoje osobę — który potrafiłby puścić duży majątek, lecz pozatem nie zrobiłby krzywdy nikomu. Przecież nie blaguję, prawda? Każdy z was musi przyznać, że jestem dobrym chłopcem, lubiącym, tak jak wy, papierosy, konie, wino, wszystko, z wyjątkiem dziewczyn, bo ja jestem mężczyzną homoseksualistą.

— To tak, jak ja, — dowcipkował Faberek — jestem kobietą lesbijską, przepadającą jedynie za kobietami.

— Więc pani nigdy nie zaznała uczucia prawdziwej miłości? — badał ją rozkochany w niej Reutz, wpatrzony w nią śmiesznie swymi krótkowzrocznymi rozkochanymi oczyma, zajęty wycieraniem złotych okularów.

— Wściekliście się dziś z tym interviewem, czy co? — zbyła krót-

ko, puszczając mu w nos kłęb dymu ze swego papierosa.

A jednak panna Mania знаła dokładnie całą przeszłość tej kuzynki, dziesiątej wody po kisielu.

Choć Sokołowsky, jak wszyscy u nas, pochodzili, podług własnej opinii, z bardzo starej rodziny, księżniczka należała do tak zwanej jeszcze lepszej linii Sokołowskich ze wsi.

Pannie z bardzo wątpliwym posagiem udało się zrobić karierę: rozkochala w sobie sąsiada z jeszcze wyższymi, niż Sokołowsky, koligacyami, zamożnego obywatela, lecz gracza, pijaka i hulakę z najgorszą opinią. Przypuszczenie rodziny, że konkurent po ślubie wyszumi się i ustatkuje, nie sprawdziło się.

Bardzo nieszczęśliwe to małżeństwo, które księżniczka nazywała stale akademią swego moralnego upadku — zakończyło się jej ucieczką z jakimś młodym studentem, którego poznała u sąsiadów, a którego szczerze, jedyną miłością w życiu pokochała.

Wyjechali do Paryża: on z aspiracyami literackimi, ona wstąpiła do szkoły malarskiej.

Po kilku latach wspólnego pożycia zanudzali się ze sobą w ciasnym hotelowym pokoiku na śmierć.

Przekonała się wtedy, że można na upartego spędzić całe życie z jednym mężem, połączonym tysiącami węzłami; lecz jeden jedyny kochanek aż do grobu stanowczo nie wystarcza.

Przytem bieda aż piszczała; z zabranych ze sobą klejnotów rodzinnych śladu już nie było.

Ani jego wierszy nie chciało żadne pismo drukować, ani na jej obrazy amatorowie się nie zdarzyli.

Postanowili rozstać się z sobą. On powrócił do kraju, do którego tęsknił, jak małe dziecko, odstawione od piersi matki.

Podobno ożenił się bogato z jakąś panną, oczarowaną jego opinią Don-Zuana, który zmarnował życie mężatce z towarzystwa.

Ona przez jakiś czas tułała się w nędzy po łacińskiej dzielnicy z cyganami, z którymi pospołu malowała, paliła papierosy i grała w brydża w nocnych kawiarniach, cała przejęta nadzieją wystawienia swojej ostatniej pracy w Salonie Niezależnych.

Obraz ten przyjęto i zawieszono w jednej sali wśród tysięcy innych, mniej lub więcej udanych.

— A teraz co będzie? — zapytała się, zmęczona pracą i wyczekiwaniem, nasycona już swoim spełnionym marzeniem.

Po daremnem wyczekiwaniu nabywcy, wzmianki w dziennikach, lub jakiejś minimalnej zmiany na lepsze w swojej rozpaczliwej sytuacji, nie było rady; powróciła do Warszawy.

Przyniosła do redakcji Nowin sprawozdanie z ostatniego paryskiego salonu; wpadła w oko redaktorowi Kacperskiemu i poraz pierwszy

w życiu z najgłębszym wstrętem popeliła hańbę sprzedania się niesympatycznemu starcowi dla kęsa chleba.

Był to konieczny warunek, aby stać się stałą współpracowniczką redakcyi, dającej jej za 8 godzin ciężkiej dziennikarskiej i korektorskiej pracy skromny byt, możliwy do osiągnięcia jedynie przy szczególnych łaskach redaktora Kacperskiego.

Lecz naraz przyjaźń między obiema paniami — jeżeli nie zerwała się zupełnie, to w każdym razie bardzo ochłodziła: panna Mania żądała bądź co bądź nieco wdzięczności i trochę uległości ze strony grzesznej pokutnicy za to zniżenie się przyzwoitej panny do „takiej kobiety“.

A księżniczka jaknajwyraźniej okazywała, że nic sobie z welinowej panny Malinowskiej nie robi.

Najdotkliwiej jednak ukłóli pannę Manię dowcip księżniczki, rzucony, jako odpowiedź, jednemu z kolegów na pytanie:

— Jakby przetłumaczyć na język polski przezwisko panny Mani: Mademoiselle Sainte Nitousche?

— Bardzo łatwo — wyrwała się z rzadkim u niej nietaktem księżniczka — panna „I chciałabym, i boję się“.

Panna Mania spiekała nie jednego, ale całą kopę raków. Miała łzy w oczach. Wszyscy, nie wyłączając twórczyni niefortunnego dowcipu, uważali pocisk za zbyt ostry, zbyt bolesny, zbyt trafny.

Nie pomogły już żadne środki łagodzące i żadne balsamy. Ta rana miała pozostać już w pięcie Achillesa panny Mani na zawsze, ponieważ rzuconej w oczy tajonej prawdy nie zapomina się nigdy.

Od tego czasu panna Mania przypatrywała się księżniczce już innem okiem, maskując — rzecz prosta — jak najstaranniej swoją niechęć, aby nie domyślano się jej istotnego powodu, dowodzącego trafności owej zatrutej strzały.

Usiłowała być sprawiedliwą: w tej kobiecie nie było faktycznie żdźbła sentymentu, ani serca, ani wstydu, ani zapału, ani rozczarowań; nic ludzkiego; jakieś uosobienie zwierzęcego hedonizmu. I panna Mania, pewna swojej wyższości, czyniła jej wy-mówki:

— Czemu pani bałamucisz żonatego Reutza, kiedy go nie kochasz?

— Dziesięć lat temu nie czyniłabym tego; życie ludzi bardzo psuje; przekonasz się sama kiedyś, po latach, jak działa trucizna, którą zażywamy niewinnie, małemi dozami, po łyżeczce od kawy. Zresztą żonie Reutza krzywdy nie sprawiam; nie będę nigdy jego kochanką, ponieważ mi się nie podoba; a zostawszy nią, utraciłabym go po pewnym czasie. A potrzebnym mi jest ktoś, kto by mi wynajdywał lichwiarza, mieszkanie, bilety loteryjne i do teatru. I do kawiarni nie można wiecznie chodzić samej. Rywalizacja z mężatkami i kokotami jest bardzo ciężką. A zresztą, w kim tu w redakcyi można się

kochać? — wskazała z pogardą na Reutza, Fabera i pracujących w sąsiednim pokoju tak zwanych mamul-tów.

— A ja? — zapytał śmiesznie Faber, mieszając bursztynową redakcyjną herbatę i odrzucając papier, zatłuszczony od masła śniadaniowej bułki z pieczenia. — A ja? Tylko niech się pani spieszy — spojrzal na zegarek — bo mam najwyżej godzinę czasu.

Panna Mania z ogromnie obrażoną miną wzruszyła ramionami.

— Nie będę już, doprawdy, nie będę, nie będę, — złożył ręce, obiecując poprawę, jak rozpieszczony dzieciak.

— Idyota! — rzuciła mu komplement księżniczka. Roześmiały się obie.

— A! Faberek, Faberek! udo-bruchala się panna Mania — plecie wiecznie, jak Piekarski na mękach!

— Nie będę już, nie będę, nie będę.

— Na księżniczkę będziesz czekał bardzo długo — mówił grobowo Reutz — to jest kobieta bez serca.

— Rebeka, na którą trzeba czekać przy studni siedem lat.

— Naturalnie. Nie jestem szansonistką, gotową na zawołanie.

— Czy pani sądzisz — zauważył Faber, że nie lepiej jest być znakomitą szansonistką, niż średnią literatką.

— Nie, przeciwnie! — roześmiała się księżniczka. — Ja sądzę, że lepiej jest być średnią szansonistką, niż znakomitą literatką.

— Mówilem — zachwycił się nią z poza swoich złotych okularów Reutz — ta kobieta jest bez serca.

— Wszystkie kobiety są wogóle bardzo złe. A gorszymi jeszcze od nich są jedynie... mężczyźni.

— O! To stare! Jak można w cudze piórka się oblekać! — oburzył się Reutz.

— On nigdy nie obleka się w cudze piórka — ujęły się za Faberem damy.

— Trzeba Faberowi przyznać, że nie jest megalomanem, zaślepionym w sobie. Przeciwnie, on się wiecznie szczyci tem, że sobą pogardza...

— Być może. Lecz jednocześnie pogardzam sobą, że się taką nędzą szczycę.

— Fakt, że jest pan człowiekiem bez żadnej barwy, bez przekonań, bez partyi.

— Przekonania są niebezpieczniejszymi wrogami prawdy, niż kłamstwa. Kłamstwem zaś jest chcieć nie widzieć czegoś, co się widzi, chcieć nie tak widzieć coś, jak się widzi. A ta chęć niewidzenia czegoś i widzenia nie tak, jak jest, stanowi pierwszy warunek wszystkich partyi. Nie powiedziałem, aby kokietować swoim umysłem, ponieważ to określenie przekonań zacytowałem prawie dosłownie z niejakiego pana Fryderyka Nietschego.

— DCN.

Rozmówki warszawskie.

Towary krótkie.

Rzecz dzieje się w saloniku pani Herbickiej, bardzo schludnym i przytulnym, pełnym miękkich kącików do dumania. Dziel sztuki niewiele. Dwa portrety dobrego pędzla dawniejszych malarzy: jeden pani domu, gdy była młoda, piękną i słodką kobietą, drugi nieboszczyka jej męża, energicznego przemysłowca, który żonie pozostawił środki do życia bez troski.

Wchodzi p. Mamierski, dawny wspólnik ś. p. Herbickiego, który zachował zwyczaj odwiedzania starej przyjaciółki kilka razy do roku. Stary człowiek, ale jary, trochę krzykliwy i z gestami fałszywej jowialności.

Pani domu wychodzi ze swego buduaru rozradowana, aby powitać rzadkiego gościa, i dziękuje mu z wylaniem za wierną pamięć.

Siadają.

Mówią o tem, że tylko stara przyjaciółka jest coś warta i że tylko stara przyjaciółka istnieje.

Rozmowa przechodzi na młodsze pokolenie. Pani domu oznajmia z wstrzemięźliwością:

— Ja ich, przyznam się, nie rozumiem...

Gość tej wstrzemięźliwości nie podziela. Wymyśla na młode pokolenie, nie żenując się ani trochę pokoleniu swemu, a przy tej sposobności i sobie, oddać całkowitej sprawiedliwości i to bez reszty.

Pani domu słucha tego wkońcu z niejakim, bezinteresownym zresztą, zaniepokojeniem. Wreszcie pyta trochę nieśmiało:

— No, tak, ale przecież synowie pana...

Gość wybucha:

— O, to zupełnie inna para mankietów.

I z uczuciem dumy składa u stóp pani domu deklarację, że ma syna po prostu genialnego.

PANI DOMU. Michaś?

GOŚĆ. On, on, starszy, pani go przecież pamięta...

PANI DOMU. Jakżeby miał go nie pamiętać. Nieboszczyk mój mąż zawsze huśtał go na kolanie. Mówił o nim do mnie, eh, mało sto razy: „Bystry chłopak, bystry”. A nawet raz, kiedyś, pamiętam...

Wstrzymuje się.

GOŚĆ. Raz?... kiedyś?...

PANI DOMU. To było już przed samą śmiercią jego. Michaś miał lat piętnaście...

Znowu się zatrzymuje.

GOŚĆ (niecierpliwie). Włec co, więc co?

PANI DOMU. Może to panu będzie trochę niemiło...

GOŚĆ. Niechże pani raz powie.

PANI DOMU. Otóż nieboszczyk mój mąż powiedział raz, — ale to było bez złej myśli, proszę mi wierzyć, — że: „nie chciałbym go za wspólnika”...

GOŚĆ (zachwycony). Tak powiedział?! A co! Znał się chłop na ludziach. Niema co... Zresztą, zawsze mu to oddawałem, że zna się na ludziach. To on decydował, komu dać, a komu odmówić kredytu. Nie omylił się, nie omylił się. Oho, musiałby wstać bardzo rano, kto by chciał ubiedz Michasia. Powiadam pani, oryentuje się wlot. A jaka pewność siebie?! Jaka wynalazczość i pomysłowość?! Obecnie zakłada jeden osobny

interes dla siebie, a drugi dla Jasia, młodszego braciszka...

PANI DOMU (bardzo grzeczna). Cóż to za interesy?

GOŚĆ. Pozna pani zaraz, z kim się ma do czynienia, gdy pani opowiem, nad czym to drogie dziecko pracuje. Dla siebie zakłada on dystylarnię. Dla Jasia perfumeryę. Porobił już masę obstatunków w hucie szklanej i w litografii. Interesy niedługo pójdą w kurs.

PANI DOMU. W hucie szklanej?

GOŚĆ. Tak jest. I zdziwi się pani, gdy powiem, ile on nowych gatunków wódki puszcza naraz. Niechno pani zgadnie, ile?

PANI DOMU. Hm. pewno — dwa. A może nawet — trzy. Skoro jest genialny...

GOŚĆ (ze spokojem, pełnym efektu). Osiemdziesiąt.

PANI DOMU. Osiemdziesiąt?

GOŚĆ. Tyle tylko.

PANI DOMU. Ale kiedy on wystudowywał tyle gatunków?...

GOŚĆ (bardzo szczerze). Oh, to nie są nowe gatunki... Nie... To są stare gatunki... Cztery, pięć starych gatunków, które się tam miesza ze sobą, farbuje, dosładza... To są nowe kształty flaszek, nowe formy etykiet i, co najważniejsza, nowe nazwy.

PANI DOMU (niebardzo rozumie). Nowe nazwy?...

GOŚĆ. Nowe nazwy... To w handlu jest wszystko... Jest to zasada Michasia... On to odkrył prawie sam... Co za łeb?! He?!... Czy wie pani, jaki jest jego sposób pracowania? Siedzi sobie na fotelu, albo leży na kanapie — i czyta...

PANI DOMU. Czyta techniczne dzieła?

GOŚĆ. Broń Boże! Tego do ręki nie bierze...

PANI DOMU. Więc coż on czyta?

GOŚĆ. Arcydzieła.

PANI DOMU (nie rozumie, ale nie daje tego po sobie poznać). Aha, arcydzieła.

GOŚĆ. Tak, arcydzieła. Szuka tam nowych etykiet do swoich wódek i do perfum swego brata. Naprzykład, co pani powie o nowej wódce, która wkrótce już pokaże się we wszystkich restauracjach i barach, a która się nazywa, — proszę tu podziwiać mojego malca, — „Łam, czego rozum nie złamie”. (Chwali się). Zapewne pani odgadła, że to jest z Mickiewicza. A jakże. Z tego... tam... aha... Wallenroda...

PANI DOMU. Z „Ody do młodości”.

GOŚĆ. Właśnie, właśnie... to chciałem powiedzieć. No, a co pani powie o perfumach „Irydyon”? To dla mężczyzn. Ostre. Silne. (Rozpromieniony). Tak, proszę pani. Doczekał się człowiek pociechy.

PANI DOMU. I to będą dobre perfumy?

GOŚĆ. O, będą, jak wiele innych...

Nie o to chodzi... Jeżeli klientowi się nie podobają, to przecież może je zmienić. Na inne. Wyboru mu nie zabraknie. Tak samo z wódkami. Mój Michaś powiada: „Skosztuj!” A jak nie smakuje, to czego innego. Kto się skrzywi np. na „Irydyona”, niech kupi „Serce pani Sarnowskiej”. Jest to ta sama perfuma, co i tamta, tylko inny flakon, inna etykieta, no, i inna nazwa, ma się rozumieć. Przytem dolewa się więcej znacznie spirytusu. Jest słabsza. Aby coś kobiecego temu nadać. Rozumie pani?

PANI DOMU (jest osłupiała, ale nie chce tego pokazać po sobie). Rozumiem, Ale... ale...

GOŚĆ. Co za ale?

PANI DOMU. To jest towar, jakby to powiedzieć, — hm, — na krótką metę...

GOŚĆ (śmieje się). Tak, tak, to jest prawdziwy krótki towar. Michaś liczy, że taki towar raz jeden tylko może być sprzedany tej samej osobie... U niego wszystko oparte na rachunku... Ale takich osób, przy dobrej reklamie, może być sto tysięcy... Gdy sukces się wyczerpie, puszcza się inny towar, zawsze, ma się rozumieć, krótki... Czyli ten sam towar puszcza się we flaszce innego kształtu i z inną nazwą... Michaś ma cały kolosalny zapas nazw na wódki i na perfumy... Jednem słowem, to genialna głowa... Jak tylko puści się gatunek „Łam, czego rozum nie złamie”, już przygotowuje się inna niespodzianka: „Poruszymy z posad ziemię!” A to jak się pani podoba, co?! Bajeczne. Ja sam bym się nie oparł spróbowaniu eliksiru spirytualistycznego, który woła do mnie tak wspaniale.

PANI DOMU (aby coś powiedzieć). Winszuję... winszuję...

GOŚĆ. Jest czego... jest czego...

Na odchodem już.

GOŚĆ. A jako następną perfumę, puszcza „Sekret Ramea i Julii”... To będzie dla starszych panów, którzy zachowali serce gorące... Michaś jest pewien, że na tem się zrobi miliony... Drogie dziecko...

Już we drzwiach.

GOŚĆ. Ah, ci młodzi!... Oni odrazu wiedzą wszystko to, czego myśmy, stare safandule, nie umieli do śmierci się nauczyć... Michaś mój powiada: „Powodzenie musi być moim niewolnikiem”. Taki jest ten chłopiec... I gdy pomyśle, że to mój syn, mój rodzony syn... Oh, droga pani, los mi był kochankiem... A jakby się cieszył nieboszczyk nasz, on, który huśtał Michasia na kolanie...

Po wyjściu gościa pani domu powiada z odwagą nagle:

PANI DOMU. Oh, to wątpliwe...

Gość tego już nie słyszy. Schodzi na dół, rozpromieniony i patrzący w przyszłość bładem, a jednak jakby so-kolem okiem. Gdy bowiem ma się syna genialnego...

B. Młodywul.

E. M. Dell.

SZLAKIEM ORŁA.

Przekład z angielskiego H. J. P.

18

XXII.

Gdy wrócili, Jim Ratcliffe siedział wraz z Daisy w saloniku. Obrzucił ich bystrem spojrzeniem, ale nic nie rzekł na ich wieczorny spacer po ogrodzie. Wkrótce też potem wstał i pożegnał się. Gran-

ge odprowadził go do sieni, a Murriel, zdjęta jakimś nagłym zawstydeniem, pochyliła się nad Daisy i śpiesznie pocałowała ją na dobranoc.

Daisy popatrzyła na nią przez chwilę.

— Zmęczonaś, kochanko? — rzekła.

— Tak, troszkę.

— Byleście się tylko nie zamiębili oboje — rzekła Daisy, całując ją.

Muriel uściśnęła jeszcze raz przyjaciółkę i wybiegła szybko z pokoju. W hallu spotkała się z Ralfem.

— Jakto? już na górę? — spytał, uśmiechając się.

Skinęła głowę. Policzki jej pałały. Ręka jej na krótką chwilę spoczęła w jego uścisku.

— Powiedz pan Daisy — wyszeptała i frunęła na górę, jak spłoszony ptak.

Ralf stał w miejscu, dopóki mu z oczu nie zniknęła, poczem zwolna, z twarzą bynajmniej nie uśmiechniętą, wszedł do saloniku.

Daisy, siedząca przed kominem, spojrzała na niego i zaczęła się śmiać wesoło.

— Jestem pewna, że coś tam kluje się pomiędzy wami — rzekła. — Jakaś tajemnica. Cóż, zgadłam?

Grange zamknął drzwi za sobą i zbliżył się do kominka. Jego piękna twarz miała jakiś szczególny wyraz.

— Nie jesteś daleką od prawdy, Daisy, — rzekł poważnie.

Odpowiedziała mu ze zwykłą żartobliwością:

— Jak zwykle, mój drogi Ralfie. Musisz mi oddać tę sprawiedliwość. No i cóż? Nie przypuszcicie mnie do spisku?

Popatrzył na nią zafrasowany.

— Oczywiście, że ci powiem — odrzekł. — Jest to rzecz, która nie da się i tak długo ukryć.

Coś, jakby nagły błysk zrozumienia, przemknął po twarzy Daisy, i twarz ta zmieniła się momentalnie; a ona sama zerwała się z miejsca i stanęła przed nim.

— Ralfie! zawołała, głosem, w którym drżało zdumienie, przestach, a nawet coś w rodzaju wyrzutu.

Spuścił oczy, unikając jej wzroku.

— Nie powinszujesz mi, Daisy? — wyszeptał.

Daisy zbladła straszliwie. O bu rękoma wsparła się o gzyms kominka.

— Ależ, mój drogi Ralfie — wymówiła po chwili. — Ona nie jest dla ciebie.

— Co przez to rozumiesz? — zapytał Grange. Wyprostował się, jakby instynktownie gotując się do walki.

— To, mój drogi Ralfie, — odparła Daisy spokojnie i z naciśkiem — że Muriel powinna zostać żoną Nicka. On ją pokochał wprawdzie, nim ty o niej pomyślałeś. Nie przypuszczałam nigdy, abyś mógł uczynić coś tak niskiego i wchodzić Nickowi w drogę, w ostatniej chwili, właśnie kiedy wraca. To nie na ciebie, Ralfie, taka nikczemność. Ale to przecież chyba nie stanowczego jeszcze?

Grange wyprostował się jeszcze bardziej. Nie starał się już unikać wzroku Daisy. Gniew w nim zawrzał, a on po raz pierwszy w życiu gniew ten przeciw swej uroczej kuzynce obrócił.

— Mylisz się — rzekł wyniosłe. — Nie uczyniłem nic takiego, czego potrzebowałbym się wstydić. Oczywiście, że to rzecz skończona. Oświadczyłem się i jestem przyjęty. A co się tyczy Nicka Ratcliffa, to podejrzewam go o jakieś łotrostwo. W każdym razie, Muriel go nienawidzi i lęka się go. On żadnego prawa do niej mieć nie może.

— Zapomniałeś, że uratował jej życie — rzekła Daisy.

— Więc wskutek tego Muriel ma się uważać za jego własność i być w pogotowiu do jego rozporządzenia? Wyznaję, iż nie mogę zgodzić się na taki pogląd.

Coś prawie pogardliwego zadźwięczało w głosie Ralfa. Daisy milczała chwilę, poczem miękkim ruchem położyła mu rękę na ramieniu.

— Mój drogi chłopcze — rzekła słodko — nie gniewaj się. Toć ja nie jestem przeciwko tobie.

Złagodniał natychmiast. Wziął jej rękę i westchnął głęboko.

— Nie, Daisy, — rzekł. — Nigdy nie bądź przeciwko mnie. Ja zawsze liczę na ciebie.

Daisy zaśmiała się z pewnym przymusem.

— I zawsze liczyłeś, prawda? Ale, mniejsza o to. Powiedz mi coś więcej. Skądże się to tak nagle stało? Czyś bardzo... zakochany?

Popatrzył na nią.

— Może nie tak, jak myśmy niegdyś pojmowali zakochanie — odpowiedział zwolna.

— Och! byliśmy bardzo wyimagający i dziecinni — rzekła Daisy lekko. — Nie, ja nie miałam czegoś w tym rodzaju na myśli. Dla ciebie, Ralfie, przeminął już podobnych niedorzeczności, przynajmniej tak by się należało spodziewać. Co do mnie... nie pamiętam już nawet, kiedy to było.

— Doprawdy? — rzekł, pa-

trząc na nią jakby z żalem.

Daisy skinęła główką figlar- nie. Nie była już blada.

— Tak, tak; przyszedł do rozsądku — upewniła go. I zgadzam się z Salomonem, że dzieciństwo i młodość są marnościami. Ale teraz rozmawiamy o tem, co jest na dobie. Ciekawam, czy Muriel kocha się w tobie? Muszę być chyba ślepą, skoro tego nie spostrzegłam. Ale jak ja teraz spojrzę Nickowi prosto w oczy, nie mam pojęcia.

Grange ściągnął brwi.

— Już mnie ten Nick nudzić zaczyna — rzekł z rozdrażnieniem. Wykwita, gdzie go nie posiać.

Daisy zaczerwieniła się.

— Nie mów nigdy nie przeciwko niemu w mojej obecności — rzekła. — Nie ścierpię tego. Z pewnością, nie posiada twojej urody, ale mimo to jest bodaj że najciekawszym i najsympatyczniejszym mężczyzną, jakiego znam.

— Wielkie nieba — rzekł Ralf. — Aż tak dalece!

Skinęła głowę z żywością.

— Aż tak dalece. A przytem, on ją kocha, kocha całą duszą. Może nie wiesz tego, że oni byli zaręczeni i byliby się oddawna po- brali, gdyby do Muriel nie były doszły jakieś złośliwe plotki, wskutek których zerwała z nim. Ale jakim sposobem to jej się udało, pojąć dotąd nie mogę. W każdym razie, zwrócił jej słowo, choć mu to złamało życie. Przyszedł do mnie potem i prosił, bym się nią opiekowała i miała ją przy sobie, dopóki będę mogła.

— To jest to wszystko — przerwał jej Ralf, — o czem obiecałaś Muriel nie mówić nigdy.

— Tak — potwierdziła wyzywająco. — Ale to jest to, co powinienś wiedzieć, zanim pójdziesz dalej.

— To nie może mieć najmniejszego wpływu na moje postanowienie — odpowiedział. — Dla mnie jasną jest rzeczą, że Muriel nie dba o niego. Co mówię! ona go niecierpi.

Daisy westchnęła z rozdrażnieniem.

— Ach! Ralfie, kiedy ty zaczniesz rezonować o uczuciach kobiet, to ja tracę podstawę. Pod tym względem pozostaniesz niemowlęciem do końca życia.

Grange umilkł. Nie było nigdy jego zwyczajem sprzeczać się z Daisy. Ona zawsze miała ostatnie słowo. Stał i patrzył na jej śliczną twarzyczkę, którą płonący na kominku ogień różowił.

Ale ona, choć czuła na sobie jego wzrok, nie podniosła oczu.

— Muriel jest uroczem, kochanem stworzeniem... Nie jesteś jej wart — rzekła, pochylając głowę jeszcze niżej.

— Wiem o tem — odpowiedział szorstko. — Nie byłem również wart ciebie; a jednak byłabyś została moją żoną — niegdyś.

Wzruszyła lekko jednym ramieniem.

— Och! to było przed wiekami. Poco poruszać te wystygłe popioły?

Nie odrzekł nic, tylko wpatrzywał się w nią uporczywie oczyma wiernego psa.

Daisy w zadumie trącała głownie pogrzebaczem.

— Jeżeli się z nią ożenisz — rzekła, — będziesz musiał być dla niej ogromnie dobrym. Ona nie jest z tych, które się zadawałają czemś połowicznym.

— Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby ją uszczęśliwić — odpowiedział.

Spojrzała na niego przelotnie.

— Nie wiem, czy ci się to uda, — szepnęła.

Oczy ich spotkały się na chwilę. Daisy wnet spuściła powieki, a twarzyczka jej stała się jeszcze różowszą.

Ralf stał nieporuszenie przez chwilę, poczem z niezwykłą u niego porywcznością ukląkł przed nią.

— Daisy — wyszeptał zdławionym głosem, — Daisy. Czy ciebie to obeszło? Czy nie chcesz, żebym się żenił? Czy to ma znaczyć, że... że... jesteś...

Urwał, bo Daisy szarpnęła się, jak pod dotknięciem bolącego nerwu. Wyprostowała się i popatrzyła mu w oczy roziskrzonym wzrokiem.

— Jakiś ty śmieszny, Ralfie! — zawołała ostro i niecierpliwie. — Wszystko to skończyło się dawno i wiesz o tem dobrze. A nawet, choćby się i nie skończyło, to ja nie jestem, jak ten pies, który leży na kości, sam nie tknie i drugiemu nie da. O tem również powinienś wiedzieć. Ach! idź sobie i nie bądź niemądrym.

Położyła mu rękę na ramieniu i odepchnęła go z pewną siłą.

On wstał natychmiast, bez cienia gniewu, a wyraz jego wierznych oczu nie uległ zmianie.

Po chwili milczenia Daisy przemówiła pierwsza:

— Co tam, — rzekła z lekkim westchnieniem, — na nic się nie zda płakać nad wykpiąłem mlekiem; wolałabym jednak, żeby

wybór twój padł był na każdą inną, tylko nie na Muriel. Ha, stało się. Będziesz musiał napisać do sir Reginalda Basset. On jest jej opiekunem, ale, jak wiesz, ulega żonie we wszystkim. Może uzyskasz jej aprobatę. Bo Nicka nienawidziła, i biedak odpokutował za to.

— Nie pojmuję, w jaki sposób oni by się mogli sprzeciwić — rzekł Grange.

— Zapewne — odpowiedziała Daisy. — I Nick również tego nie pojmował. Co nie przeszkodziło lady Bassett postawić na swoim. Ale skoro Muriel chce zostać twoją żoną, lub przynajmniej tak jej się zdaje, to, oczywiście, pobierzcie się. I prawdopodobnie, będzie tego później żałowała.

— Myślisz, że jej nie uszczęśliwię? — rzekł Grange.

Daisy zawahała się chwilę.

— Myślę — rzekła zwolna — że nie jesteś odpowiednim dla niej mężem. Aczkolwiek — tu wstrząsnęła się zlekka i wstała — mogę się mylić. W każdym razie, rzeczy już zaszły zbyt daleko, żebym się w nie mogła mieszać. Żadnemu z was nie mogłabym już nic pomódz. Musicie sobie radzić sami.

Wyciągnęła do niego rękę.

— No, idę już na górę. Malec jest dziś jakiś niespokojny i może mnie potrzebować. Dobranoc.

Ralf pochylił się i nagle rękę jej do ust przycisnął. Zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale nic nie rzekł. Nawpół drwiący uśmieszek zaigrał na ustach Daisy, gdy zwolna odebrała mu rękę. Lec i ona milczała również. Rzec można było jednak, że się porozumieli bez słów.

DCN.



Wiadomości literackie.

Polonica.

× Przetłomaczony został na język niemiecki tom drugi „Rzymu” Chłędowskiego, „Ludzie baroku”. Prasa niemiecka z zachwytem pisze o dziele i z wyrazami uznania dla tłumaczki, p. Rozy Schapir.

× Lipskie czasopismo, „Orientalisches Archiv”, wydawane przez Hierse-manna zamieściło pracę d-ra Tadeusza Krygowskiego o kobiercach polskich: „Polenteppiche”. Sprawę autentyczności polskiego dywaniarstwa artystycznego zaczęto w ostatnich czasach na dobre uważać za pogrzebaną. Obecnie lekarz lwowski, T. Krygowski, znany w ścisłych kołach ze swych bogatych i cennych zbiorów kolekcjoner-specjalista i badacz, wystąpił jako rewindikator staropolskiego kunsztu, ratując zagrożoną

placówkę i oświecając nowym blaskiem bardzo poważną w dziejach naszego przemysłu zdobniczego chlubną nader kartę. Rozprawa jego o polskim kobierctwie napisana jest z ogromną erudycją i ma też znaczenie bardzo doniosłe. Że zaś jej wartość naukowa jest poważna i rzetelna, świadczy sam fakt pomieszczenia jej w wyżej wymienionem czasopiśmie, oraz listy i wyrazy uznania, jakie autor otrzymał od wybitnych powag fachowych.

Z literatury niemieckiej.

× Paweł Ilg. „Die Brüder Moor”. Dwaj młodzi chłopcy, którzy chcą życie swe zakończyć uroczyście, jak Karol i Franciszek Moor, popadają krótko przedtem w takie błędy i winy, iż obaj tracą grunt pod nogami i tylko jeden z nich, nieszczęśliwy syn ubogiej szwaczki, zdołał, z win oczyszczony, wstąpić w nowe życie. Drugi, rozpieszczony wychowaniem bogatej rodziny, dowiedziawszy się niespodzianie, iż z rodzicami nie łączą go żadne związki krwi, traci do tego stopnia równowagę wewnętrzną, że miłość dziecięcia, jaką czuł dla przybranej matki, przestacza się u niego w ślepa żądzę i dziką gwałtowność. Wkońcu zdobywa się na tyle energii, iż pozbawia się życia. Rozwój charakterów przeprowadzony jest w powieści konsekwentnie, wiele typowych przygód z krainy młodości przedstawionych jest żywo i barwnie. Wiernie też odtworzył autor figury poboczne, jak bogatego radcy i jego pięknej żony, przesadnego nauczyciela sztuki dramatycznej i jego córki lekkomyślnej.

Z literatury francuskiej.

× Jerzy Courteline. „Les Linottes”. („Roztrzępacy”). Nowa powieść utalentowanego autora francuskiego to obrazy karykaturalne i typy cyganeryi paryskiej. Bohaterowie jego, a raczej sylwety ich — to istoty zmienne, niezdolne konsekwentnie żyć, logicznie myśleć, niepozbawione talentów i serca; genialne niekiedy, wiecznie roztrzępane, pełne fantazyi istoty, których nie można brać na seryo, ani surowo sądzić ich postępów. Budzą uśmiech jedynie. Jeden z tych bohaterów — to Robert Cozal, młody poeta, ubóstwiający panią Martę Hamiet, co mu nie przeszkadza zdradzać ją co chwila niemal. Wyrzuty sumienia, pogarda, jaką czuje dla siebie, przysięgi wierności po otrzymaniu przebaczenia, kończą się nową zdradą i nowem przebaczeniem. Robert Cozal pisze do spółki operetkę z genialnym muzykiem, niegdyś nagrodzonym nagrodą rzymską, Stefanem Hour, który muze swoją wprowadził do kabaretu szaleństw i grywa tam w nocy, ale tylko sonaty i marsze żałobne. Ażeby zaznaczyć swoją indywidualność artystyczną — dramat liryczny traktuje, jak operę-buff, a operetę, jako oratorium. Trzeci — to mąż Marty, Fryderyk Hamiet, typ świetny w karykaturze. Fryderyk jest człowiekiem idei; ciągle kombinuje nowe niesłychane przedsięwzięcia i tonie w marzeniach o milionach chimerycznych. Więc wymyśla nowy system publikowania dzieł; to znów kawiarnię, w której byłoby wszystko, oprócz kawy, to dziennik, w którego felietonie pomieszczałby dykcjonarz Larousse'a. Zresztą, zanim jeden projekt dojrzeje, już go puszcza, by zająć się innym. Wreszcie zakłada teatr, którego największą osobliwością jest, że zaczynać się będzie o 10-ej, gwo-

otrzymane **Nowości** na sezon wiosenny i letni w wełnach, jedwabach i bawełnach na kostymy i suknie, oraz towary białe, pierwsze, fabryk krajowych i zagran., chustki, pończochy, rękawiczki i t. p.

WARSZAWA, BRACKA 16, TELEFON 222-42.
FELIKSA SKRODZKIEGO I S=
NOVO OTWORZONY MAGAZYN BIAŁY I SKŁAD PŁOTNA

li temu, jak zapowiadają afisze, żeby widzowie mogli spokojnie zjeść w domu obiad. W tym teatrze ma być odegrana operetka Cozala i Hour'a. Próby — szalenie burzliwe. Fryderyk ze zdumiewającą pewnością siebie najniemożliwiej je prowadzi, piorunuje wiarę w tryumf i powodzenie sceptyków i malkontentów. Wreszcie, w dzień próby generalnej, zanim zarysował się już napewno fatalny upadek sztuki, oznajmia, że teatr zamyka i pogrąża się znów cały w nowym projekcie. Tak się przedstawiają trzy główne sylwety tej interesującej bardzo powieści, której typy, aczkolwiek skarykaturowane, są podpatrzone żywo z życia i niepodobna się niemi nie zajmować.

TREŚĆ № 18.

Gromada. *Józef Weyssenhoff.*
Młodość panny Mani. *Alfred Konar.*
Rozmówki warszawskie. *B. Młodywut.*
Szlakiem orla. *E. M. Dell.*
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową, 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie, 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Warszawa, ulica Zgoda № 1.

Redaktor: **STEFAN KRZYWOSZEWSKI.**
Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”.

Redaktor odpowiedzialny na Galicję: Antoni Chołoniewski, Kraków, ulica Bonerowska 12.

Druk. Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie

Z dziedziny kosmetyki.

S. S. w S. Przeciw łuszczeniu się skóry krem *Neutre*, pocenie zaś rąk, nóg, pach usunie *Eureka*.

H. H. Cennik szczegółowy nadesłała jedna z firm, podanych poniżej.

Czytelniczko H. Nos myć rano, w gorącej wodzie, jeśli chcemy się pozbyć czerwoności; parę razy dziennie zwilżać *Nezalina*, nasączoną na wate, a co drugi dzień obmywać w ciągu dnia benzyną oczyszczoną z apteki.

Wdzięcznej Łodziance. Za uprzejme słówka serdeczne dzięki. Zbyteczne włosy usunie z twarzy *Epil Max*, a jakkolwiek odrosną, to jednak przy ciągłym powtarzaniu cebulki włosowe się osłabiają i coraz węższe włosy wyrastać będą.

Marze. Poprawić formę biustu można za pomocą Masażystki pneumatycznej systemu *Heros*. Szczególniej biust niedość jędrny można z powodzeniem doprowadzić do kształtów pożądaných, lecz unikać wewnętrznych środków, gdyż prawie wszystkie zawierają arsenik. Sposób użycia Masażystki jest bardzo łatwy, i bezwarunkowo trzeba robić samej sobie, bez pomocy niczyjej, gdyż czuć trzeba, kiedy aparat ssać zaczyna. Wskazaną również jest w tych razach gimnastyka ramion we wszystkich kierunkach, wolno, bez zmęczenia, z pierśią naprzód, przy bardzo głębokim oddychaniu. Masować trzeba w ciepłym pokoju, najlepiej przy piecu, zastawiając się parawanikiem. Bezpośrednio przed samem masowaniem obmyć biust i ramiona ciepłą wodą, *Otrąbkami abaridowemi*, nabrać na gąbkę, dość silnie wcierając.

Wdówce. Zarysowane już widośnie zmarszczki na twarzy rozgładzi *Abarid*, używany stale na noc, który należy dość silnie wetrzeć w twarz całą, a szczególnie w miejsca, gdzie się skóra najwidoczniej fałduje. *Abarid* zjedrnia mięśnie i nie dopuszcza do fałdowania się skóry. Rano myć twarz w ciepłej wodzie *Otrąbkami abaridowemi*, bez mydła, i zapudrowywać pudrem *Abarid*. Prawie wszystkie inne pudry zawierają

przymieszki bizmutu lub blejwajsu, które zamulają pory skóry, nie pozwalają tłuszczowi podskórnemu wydobywać się nazewnątrz i tworzą owe szpetne wagry.

Do Wszystkich. Środki tutaj zalecane, mają na składzie firmy: „*Perfection*”, Szpitalna, 10, i *Paszkowski*, Marszałkowska, 109, oraz *Nowosenatorska*, 2, w Łodzi *Spiess*, w Wilnie *Grużewski*, we Lwowie *Paszkowski*, Akademicka, 21, w Krakowie *Miklaszewski*, pl. Dominikański, 1, w Poznaniu *Gadebusz*, Nowa, 7. Na kopertach należy dopisać: „*Dział kosmetyczny*”.

M-me *Ercedès*.

Siwe włosy

głą bezpowrotnie po jednorazowym użyciu „*Wody Pigment*”. Woda ta nie farbuje, lecz przywraca naturalny kolor włosów. Nie zawiera tłuszczu ani osadu. Nie brudzi skóry, proszę raz spróbować jeśli nie poskutkuje, przyjmujemy z powrotem: skład główny perfumeryjny J. Wróblewskiej, dawniej Lipink. Wierzbowa róg Niecałej, tel. 75-56. Wysyła za zaliczeniem.

MOR TĘPI RADYKALNIE
szczury i myszy
wyłączna sprzedaż.
ST. STANISZEWSKI
Warszawa, Krak.-Przedm. № 31.
Skład apteczny i perfumeryjny.

Jednym z najlepszych naturalnych i nieszkodliwych płynów do farbowania włosów i brody na kolory: jasny, ciemny, brązowy i czarny, jest „*Kallotrix*”, wyrobu „*Centralnego Labor. Chemicznego*” w Warszawie. Sposób użycia dołączony do każdego flakonu.

Wskazówki.

Pani Zofia G. Uczesanie modne, bez odpowiednich dodatków, jest niemożliwe. Najlepiej udać się o nie do specjalisty — fryzjera, p. *Józefa Bagnowskiego Wilcza 35, róg Marszałkowskiej*. dom W-go J. Fruzickiego.

Magazyn obuwia mechanicznego MARKI: „**SŁON**”
MARSZAŁKOWSKA 154 POLECA **Nowości sezonowe!!!**

Biedna wdowa

po obywatelu ziemskim bez żadnych środków do życia, zwraca się z gorącą prośbą o pomoc. Ofiary pod literami K. M. przyjmnie Administracja naszego pisma.

DOM BANKOWY

Ż. Szempliński i Ska Nowy-Świat 40,
tel. 98-60.

Kupno i sprzedaż papierów procentowych, przekazy na zagranicę. Assekuracja. Lokaty. Konserwacje w Tow. Kredytowym.

Wydawnictwa Tow. Akc. Wydawniczego „Świat”

WINC. KOSIAKIEWICZ
**Powrót
z za świata**

Cena rb. 1.—

BOLESŁAW GORCZYŃSKI
**Na tropie
trucizny**

ROMANS.

Cena rb. 1.80.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Żółdkowo-chorym

w różnych objawach ich dolegliwości (katar żółdka, obstrukcja, zgaga, zawroty głowy, gazy i t. p.) wskazać skuteczny środek domowy. Zapytania listowne, z dołączeniem markina odpowiedzi, przysyłać do Biura „Ungra”, Wierzbowa № 8 sub. „Zdrowie”.

Ubogi sierota

z inteligentnej rodziny, uczeń klasy II-ej szkoły polskiej, przysięgnięty z litości przez znacznych ludzi, lecz biednych i obarczonych liczną rodziną, nie mając ubrania, książek i opłaconego wpisu, poleca się gorąco miłosierdziu czytelników, błagając o jakąkolwiek pomoc. Ofiary dla „ubogiego sieroty” przyjmuje redakcja

Przegląd Filozoficzny i Ruch Filozoficzny

kwartalnik wydawany przez
Dr. Władysława Weryhę w Warszawie

miesięcznik wydawany przez

Prof. Dr. Kazimierza Twardowskiego we Lwowie.

„*Przegląd Filozoficzny*” przynosi oryginalne rozprawy ze wszystkich dziedzin filozofii, rozbiory krytyczne dzieł i monografii filozoficznych, przegląd nauk szczegółowych i współczesnych systemów filozoficznych. „*Ruch Filozoficzny*” przynosi w każdym numerze oprócz artykułu wstępnego, sprawozdania z bieżącej literatury filozoficznych, obfite bibliografie, sprawozdania z obrad towarzystw filozoficznych, wiadomości o konkursach, zjazdach filozoficznych, oraz wiadomości bieżące.

Łączna cena obu pism rocznie rb. 7, półrocznie rb. 3 k. 50 z przesyłką pocztową. Prenumeratę przyjmuje Księgarnia i Administracja „*Przeglądu filozoficznego*”. Warszawa, Piękna, № 44.
Dla prenumeratorów cena wydawnictwa p. t. „*Klasyki Filozofii*” (6 tomów) niższa z 7-miu na 3 ruble wraz z przesyłką.

Towarzystwo Akcyjne Przemysłowo-Handlowe

„L. J. BORKOWSKI“

Warszawa, Mazowiecka № 11.

Dąbrowa Górnicza, Łódź, Lublin, Częstochowa, Radom, Moskwa, Dziwińsk.

Poleca z własnych składów i z fabryk: żelazo handlowe, blachy żelazne, cynkowe, cynkowane, miedziane; belki żelazne, cement, węgiel i koks rury żelazne, szyny, śruby, mutry, nity, łopaty stalowe, grabie, lemiesz i odkładnice, stal narzędziowa i zwykła, odlewy surowcowe, sprężyny do maszyn rolniczych (do grabi, kultywatorów i t. p.) beczki żelazne do nafty i spirytusu, kosy styryjskie i krajowe kosy do sieczkarni, osie, buksy, łańcuchy, gwoździe drut, pasy do maszyn skórzane i z sierści wielbłądziej, kowadła i mądla, wiertarki, tokarnie, pilniki, podkowy, hufale, pakunki wszelkiego rodzaju i t. p.

CENY HURTOWE. — CENNIKI NA ŻĄDANIE GRATIS.

Z dniem 1-gim Marca r. b. przy ulicy Mazowieckiej № 11, otwarty został sklep detaliczny z artykułami technicznymi po cenach hurtowych.



Simon i Stecki

DOSTAWCY DWORU
JEGO CESARSKIEJ MOŚCI.

Skład Win

EGZ. OD 1825 ROKU
Krak.-Przedm. № 38 Tel. 418

WINA, LIKIERY,
RUMY, KONIAKI.

Representacja:

Koniaków BISQUIT
Likierów F. CAZANOVE.

Przegląd Filozoficzny i Ruch Filozoficzny

kwartalnik wydawany przez
Dr. Władysława Weryhę w Warszawie

miesięcznik wydawany przez
Prof. Dr. Kazimierza Twardowskiego we Lwowie.

„Przegląd Filozoficzny“ przynosi oryginalne rozprawy ze wszystkich dziedzin filozofii, rozbiory krytyczne dzieł i monografii filozoficznych, przegląd nauk szczegółowych i współczesnych systemów filozoficznych. „Ruch Filozoficzny“ przynosi w każdym numerze oprócz artykułu wstępnego, sprawozdania z bieżącej literatury filozoficznych, obfita bibliografię, sprawozdania z obrad towarzystw filozoficznych, wiadomości o konkursach, zjazdach filozoficznych, oraz wiadomości bieżące. Łączna cena obu pism rocznie rb. 7, półrocznie rb. 3 k. 50 z przesyłką pocztową. Prenumeratę przyjmują Księgarnie i Administracja „Przeglądu filozoficznego“. Warszawa, Piękna, № 44. Dla prenumeratorów cena wydawnictwa p. t. „Klasyki Filozofii“ (6 tomów) zniżona z 7-miu na 3 ruble wraz z przesyłką.

Dr. Władysław Kluger
b. Asyst. Klin. lek. Uniw. Jag. ord.
w MARIENBADZIE, jak dawniej, od 15
maja, Dom „Stadt Haanover“.

... UBIORY GOTOWE DAMSKIE, ...
oraz PRACOWNIA SUKIEŃ I KOSTYUMÓW
(długoletniej współpracownicy maga-
zynów „C. Karska“ i „Lucyna“)
„CECILE“ (Balska & S-ka)
Warszawa, Marszałkowska № 62.
Telefon 148-67.
Poleca na sezon wiosenny i letni
kostiumy, suknie, bluzki etc., etc.
Roboty przyjmuje z własnych i po-
wierzonych materiałów.
Ceny najprzystępniejsze.

MEBLE
poleca Związek Meblarzy
SENATORSKA 29. Tel. 135-45.
Galeria Luksenburga.

Wody Mineralne Sztuczne
Lecznice.
D-ra Jaworskiego.

„MOTOR“
Warsz. Tow. Akc. Marszałk. 23.

KĄPIELE
z kwasem
WĘGLOWYM.

Perfumeryjne i Kosmetyczne Nowości

Z NAJPIERWSZORZĘDNIJSZYCH ŹRÓDEŁ
poleca
WARSZ. TOW. AKC. 7842

Ludwik SPIESS i Syn

AMERYKAŃSKIE
Towarzystwo Fibry Wulkanizowanej

IMPORT FABRYKA
Ameryk. fibry wulkanizowanej artykułów technicznych
najlepszego gatunku. Z FIBRY.

Wszelkie wyroby z Fibry dla celów technicznych.
KONTO BANKOWE: BANK HANDLOWY, w WARSZAWIE.
Adres telegraficzny: „Fiber“.

Warszawa, Ogrodowa № 10. Telefon № 287-56.

SKŁAD PAPIERU i DRUKARNIA

ANTONI SZUSTER

Warszawa, Krak.-Przedm., Hotel Europejski, tel. 12-23

poleca: Materiały piśmienne i rysunkowe. Księgi buchalteryjne, Reje-
stra gospodarcze, Menu, Karty wizytowe, Zaproszenia ślubne. Druki
wszelkiego rodzaju, Galanterię piśmienną i skórzaną, Albumy do foto-
grafii, do kart pocztowych. 7762

Obstaunki z prowincyi załatwia się odwrotną pocztą.

MEBLE gięte, stolarskie. URZĄDZENIA CAŁKOWITE

Bracia THONET

Warszawa, MARSZAŁKOWSKA № 141, Tel. 20-29.

Szanownym naszym czytelnikom polecamy nieszczę-
śliwą, cierpiącą na konwulsje, matkę 2-ga
dzieci, z których jedno chore jest umysłowo, maż nie zdolny do pracy,
nieuleczalnie chory. Ofiary dla P. B. przyjmuje Administracja.

OD 1-go CZERWCA ZACZNIE WYCHODZIĆ

„Encyklopedia humoru i satyry polskiej“

nakładem tygodnika „MUCHA“ pod redakcją „KROGULCA“ (ANTONIEGO ORŁOWSKIEGO).

Czterotomowy skarb humoru. Z górą sto arkuszy druku.

Cena za 4 tomy 8 rb., zeszyt dwuarkuszowy 20 kop. BLIŻSZE SZCZEGÓŁY W PROSPEKCIE.

Biuro wydawnictwa: ulica Zgoda № 1 — Administracja „Świata“.

Wykwintne obuwie męskie poleca nowo utworzony magazyn p. f. „ANTONI“ WARSZAWA Nowy Świat 32 Telefon 262-28. Właśc. Antoni Świeraszcz długoletni współ-
ciciel Antoni Świeraszcz pracownik, a osta-
tnio współwłaściciel firmy JAN KIELMAN.

LOKALE dla Banków, Kupców i Przemysłowców LOKALE

w najlepszym punkcie miasta (w nowobudującym się domu) **Nowo-Miodowa № 3** róg Senatorskiej i Junkierskiej, do wynajęcia od 1-go Lipca r. b. Lokal odpowiedni także na **kawiarnię, cukiernię** i t. p. — Na żądanie mogą być połączone 3 lokale piętrowe z dolnym sklepem, 4 wystawowymi oknami 9x9 i 4 okna 4x4 łokci, wielkość sal 520 łokci, mogą być rozdzielone według wymagań. Centralne ogrzewanie, 2 windy i wszelkie nowoczesne urządzenia.

Wiadomość na miejscu od 10 — 12-ej, lub u właściciela Z. Alberga, Marszałkowska 53 od 3 — 5 godz. Telefon 30-27.

Nowo otwarty Magazyn Broni
 POD FIRMĄ
R. Gliniecki i B. Wierzejski
 w Krakowie, ul. Szewska 2.

poleca bogaty wybór broni wszelkich systemów, przyborów myśliwskich, sportowych, oraz własną pracownię i warsztaty reparacyjne.

IGŁY, SZPILKI, NICI, TA-SIEMKI I GUZIKI POLECA
STEFAN PORĘBSKI
KRAKÓW, RYNEK L. 32

Korale prawdziwe,
Torebki damskie,
parasole i pończochy
poleca Stefan Porębski
Kraków, Rynek L. 32

W ZDROWYM CIELE — ZDROWA DUSZA.
 MYJCIE i KĄPCIE SIĘ **W OZOFLUINIE**
 (kapsle sosnowo-balsam. Ozofluin-Centrela Bazylea.
 pod postacią ziarnistego proszku) Zalecane przez lekarzy całego świata.
 Jener. Reprez. **JAN SROCZYŃSKI,** Warszawa, Złota 23. Telefon 212-80.
 ŻADAĆ WSZĘDZIE.

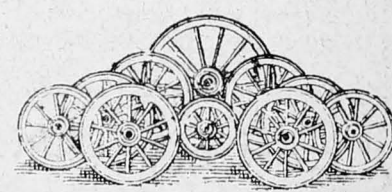
Z. Dobrzańska i S^{ka} Warszawa, Jasna 10.
 Telefon 178-75.
 polecają **wykwintne papiery listowe** w wielkim wyborze.

Piekarnia Nowa A. Ł. Nowy-Swiat № 68
 nabyła na wyłączną własność prawo wyrobienia specjalnego chleba i sucharków dla diabetyków „**KLEBON**” podług przepisu prof. (chorych na cukrzycę) p. n. F. X. Kleinpetera w Wiedniu. „**KLEBON**” sprzedaje się za pozwoleniem Urz. Lek. m. W. w sklepie głównym Piekarni Nowej, **NOWY-SWIAT № 68** w specjalnym opakowaniu, opatrzonym marką fabryczną, oraz podpisem wynalazcy.

ZAKŁAD
Lecznicy dla przychodzących
 z chorobami żołądka i kiszek
D^{ra} Tadeusza Wilczyńskiego
 Al. Jerozolimska № 35. Tel 282-25.
 przyjęcia od 9—10 r., od 1—3 i 6—7 p.d.

Pierwsza w Kraju Specjalna Fabryka Kół i Wozów

H. WAGNER i S^{ka}
 Warszawa-Targówek. Tel. 62-99.
 ZARZĄD: **Warszawa, Złota 23.** Tel. 212-80.

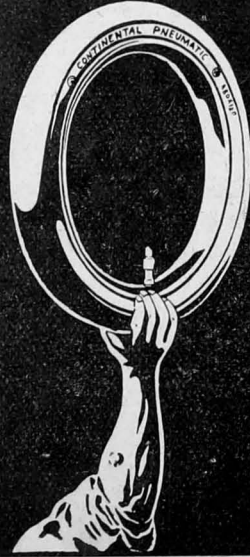



Kühle, Miksche i Türk
 Właściciel **B. ŻURKOWSKI**
 WARSZAWA, AL. JEROZOLIMSKIE 43.
 TEL. 31.27.

APARATY FOTOGRAFICZNE
 dla p. p. Amatorów i Zawodowców oraz wszelkie przybory do tychże.
 LORNETKI przyzmatowe i teatral.
 Latarnie do projekcji.
KINEMATOGRAFY.
 Towar gwarantowany.
 Ceny najniższe — fabryczne.

Koła do karet, powozów, bryczek, platform, wozów i wszelkie inne gwarantowanej trwałości, naciąganie **na zimno** na maszynach hydraulicznych. Nowe wozy kolejne, saskie i półtoraczne.
 Cenniki na żądanie gratis i franco.

Wielki Medal Srebrny na Wystawie w Lublinie 1908 rok. — Złoty Medal na Wystawie w Częstochowie.


Continental
 najlepszy
Pneumatyk